

LIFE IS CHEAP: BONUS

MONOMU



*Opowiadanie zawiera treści przeznaczone dla osób dorosłych (+18) i mogące być uznane za kontrowersyjne – w tym graficzne opisy scen seksu pomiędzy mężczyznami oraz przemocy, a także wulgarne słownictwo.*

Adres bloga, z którego pochodzi opowiadanie:

<https://texas-brothers.blogspot.com/>

Opowiadanie to bonus do „Life is Cheap” dostępnego również za darmo na  
beezar.pl

## Spis treści

Rozdział 1 .....	4
Rozdział 2 .....	15
Rozdział 3 .....	24
Rozdział 4 .....	32
Rozdział 5 .....	40
Rozdział 6 .....	47
Rozdział 7 .....	55

## Rozdział 1

Santa Boy rozejrzał się po ciasnej łazience. Nie było tu wanny, jedynie kabina prysznicowa, więc z braku innych możliwości przysiadł na małym, metalowym koszu na śmieci z klapką. Łokciem oparł się o brzeg umywalki i spojrzał ponad nią na klęczącego przy muszli klozetowej Saszę.

– Po co tu przyszedłeś? – spytał chłopak, nawet na niego nie zerkając.

Z tej perspektywy Santa Boy nie mógł dokładnie zobaczyć jego twarzy, ale i tak odwrócił głowę. Zakrył usta dłonią i zacisnął piekące oczy, próbując powstrzymać kolejną falę torsji. Na szczęście skurcze żołądka po chwili osłabły. Tym razem, bo był pewien, że to jeszcze nie koniec.

– Żeby przytrzymać ci włosy? – zaproponował Santa.

Sasza nie mógł powstrzymać parsknięcia na ten komentarz. Znowu nosił pofarbowanego na czerwono irokeza, który teraz nie prezentował się najlepiej taki oklapnięty. Nie było tu czego „przytrzymać”. Włosy były za krótkie, żeby opadać mu na twarz.

Nie kierował się jedynie aspektem estetycznym przy podejmowaniu decyzji o ponownym zapuszczeniu włosów. Po prostu brakowało mu tego uczucia, gdy Santa Boy trzymał go za nie... W zupełnie innych okolicznościach niż te, w których znalazł się teraz. Nigdy mu o tym nie powiedział, ale ten stary, narcystyczny dziad i tak pewnie o tym wiedział.

Sasza zaraz skrzywił się, bo treść żołądka podeszła mu do gardła.

– Idź sobie – poprosił prawie błagalnym tonem. Nie chciał być takim oglądany.  
– Tu nie ma niczego ładnego do podziwiania.

– Nie zaprzeczę – zgodził się Santa Boy, uśmiechając się wrednie, jednak nawet nie drgnął.

– Więc? – syknął Sasza i wreszcie na niego spojrzał wyraźnie rozeźlony.

– Więc... – podłapał muzyk. – Więc możesz zemdleć i uderzyć tym pustym czerepem o klozet albo możesz zacząć dławić się rzygami. Więc jednak zostanę.

Wiesz, żebyś nie umarł przez to, żeś wciąż głupi mimo trzydziestki na karku i pochlałeś bez umiaru. Byłoby jednak trochę szkoda. Takie więc „więc”.

– To najohydniejsze wyznanie miłosne, jakie w życiu słyszałem – skomentował Sasza. Jednak na jego bladych, dotąd zaciśniętych ustach, pojawił się słaby cień uśmiechu. Teraz był biały jak ściana na twarzy, ale w innych okolicznościach pewnie by się zaczerwienił, rzucając niemal retorycznym tonem: – Ty naprawdę mnie kochasz, co?

– No – odparł Santa Boy, jeszcze nim chłopak skończył pytanie.

Nawet przy tym nie zamrugał, pomyślał Sasza, przez moment zerkając jeszcze na niego kątem oka. Później znów zawisł nad muszlą klozetową. A wcale aż tyle nie wypił na imprezie w domu jednego z ochroniarzy na koncercie, który dawali kilka godzin temu. Na pewno mniej niż Santa Boy, a ten nawet nie wyglądał na specjalnie wstawionego. To raczej było zatrucie pokarmowe. W trasie zwykle jadal w przydrożnym knajpach to, co akurat serwowano. I najwyraźniej nie zawsze było świeże.

– A ja miałem takie bogate plany na dzisiejszą noc – mruknął zrezygnowanym głosem muzyk, gdy Sasza znów zawisł na desce, opierając się o nią łokciem. Wcześniej spuścił wodę. – Teraz zaś wyglądasz przynajmniej nieapetycznie. Docień, że wysiliłem się, żeby znaleźć takie ładne, kulturalne określenie.

Sasza zaś wysilił się jedynie na to, aby pokazać mu środkowy palec. Santa Boy zaśmiał się na ten gest gardłowo.

Młodszy z mężczyzn przymknął na moment oczy. Niski, wiecznie zachrypnięty głos był naprawdę przyjemny dla ucha. Teraz działał na niego wręcz kojąco. Santa Boy mógłby nagrywać kołysanki.

– Się mogę odwrócić tyłem – parsknął – jak masz takie bardzo naglące potrzeby.

– Hm, nie – odparł muzyk, który z nudów zaczął przeglądać kosmetyki stojące na półce nad umywalką. – Pewnie nawet by ci nie stanął.

– I w tej konfiguracji ma to jakieś większe znaczenie?

Sasza drgnął i spojrzął na muzyka, gdy coś z głośnym stukotem uderzyło o kafelki na podłodze. To był dezodorant, który Santa Boy musiał przypadkiem strącić z półki. Muzyk podniósł go i odłożył z powrotem, po czym wstał.

– Tylko nie zaśnij nad tym klopem – mruknął jeszcze, nim wyszedł z łazienki. Zatrzasnął za sobą drzwi.

Sasza odprowadził go spojrzeniem swoich szarych, lekko wyłupiastych oczu. Gdy drzwi się zamknęły, zrobił zdziwioną minę. Santa Boy wydawał się nagle czymś zirytowany.

Wrócił do salonu, gdzie wciąż trwała impreza, chociaż zostały się tylko najwytrzymalsze, najbardziej zaprawione w bojach jednostki. Na kanapach i fotelach polegiwało zmięte i przetrawione młode pokolenie Ameryki. Chyba nie było nadziei dla tego kraju. Santa Boy podszedł do jednego z chłopaków, który podpierał ścianę i fundował sobie raka płuc. Poprosił go o papierosa.

Rzadko palił, bo nawet tego specjalnie nie lubił i nie chciał stracić głosu, ale teraz po prostu czuł, że musi. Wyszedł na taras. Oparł się o drewnianą barierkę i włożył papierosa między wargi. Wtedy uświadomił sobie, że nie wysepił od dzieciaka niezbędnego akcesorium.

– No kuźwa – syknął poirytowany.

Był zły, ale to nie ta pierdoła była za to odpowiedzialna. Czuł rosnące w nim poirytowanie. I nawet coś na kształt żalu.

– Proszę. – Usłyszał nagle za sobą.

– Co?

Gdy się obrócił, ujrzał mężczyznę, który w wyciągniętej dłoni trzymał prostą, czerwoną zapalniczkę.

– Dzięki – odparł i zapalił papierosa.

Przyjrzał się przy tym swojemu wybawcy. Stał przed nim zupełnie przeciętny z każdej strony, wręcz trochę jałowy facet koło trzydziestki. Na pewno nie wyglądał na bywalca takiego typu domówek. Santa przypomniał sobie, jak organizator tej imprezy, ochroniarz z koncertu, wspominał, że w domu będzie jego starszy brat, ale pewnie nawet nie wyjdzie ze swojej jaskini. To musiał być właśnie on. Zupełne

przeciwieństwo ochroniarza, który mógł się pochwalić rozciętym jak u węża językiem, a Santa był przekonany, że to był dopiero początek niespodzianek, jakie skrywało jego ciało.

Muzyk oddał zapalniczkę, wskazując przy tym na zasinienie po okiem mężczyzny. Limo musiało mieć już kilka dni, bo zaczynało przyjmować tęczowe barwy.

– Brat? – zapytał wprost. Nie, żeby go to jakoś interesowało, ale wywołało u niego tak obce mu uczucie jak współczucie. Po prostu miał ochotę z kimś pogadać o byle czym. Zająć czymś głowę.

Mężczyzna widocznie się spieszył i dotknął swojej twarzy w tamtym miejscu, nie mogąc powstrzymać odruchu. Jednak było już za późno, by cokolwiek zamaskować.

– Nie – odparł po chwili.

– Więc facet.

– No, tak – przyznał nie od razu, uciekając przy tym wzrokiem w bok. – Statystycznie to mężczyźni częściej...

Santa Boy przewrócił oczami i zaśmiał się. Jaki pocieszny, prychnął w myślach, specjalnie wbijając w niego spojrzenie swoich czarnych, głęboko osadzonych oczu. Śmieszyło go to, jak peszył się trzydziestoletni mężczyzna. Nie miał ani krzty charyzmy.

– Twój facet – doprecyzował.

Santa Boy aż przekręcił głowę jak zainteresowany czymś pies, gdy zobaczył przerażenie malujące się twarzy tego faceta. Torturowanie ludzi, na różnych polach, sprawiało mu nie lada przyjemność, ale z jakiegoś powodu tym razem postanowił odpuścić. To żadna frajda, kiedy ofiara nie stawia oporu.

– Wiesz, sam jestem pedałem – rzucił. – Nie spinaj tak pośladków. Więcej się przecież nie zobaczymy i mam ciekawsze rzeczy do roboty niż outowanie jakichś lamusów.

– Ale skąd... Nie, nieważne.

Mężczyzna zmarkotniał jeszcze bardziej. Santa westchnął, po czym zaciągnął się papierosem. Obejrzał sobie przy tym jeszcze raz tę kupkę nieszczęścia. Kiedyś

nie za bardzo go obchodziło, jak wyglądało to, w co wkładał. Ani nawet jakiej było płci, co wydało zresztą swoje owoce, a właściwie jeden pyskaty, blady owoc. Ale tej porażki przed sobą nawet kijem by nie dotknął. Nawet gałązką wierzbową, witką, nie wspominając nawet o przysłowiowym, płonącym konarze z reklam. Gościu nie należał do szpetnych, ale był po prostu niesamowicie wręcz nijaki. I nawet nie rozchodziło się tu o wygląd, a bardziej o charakter i aurę. To zaś czyniło go w oczach Santy Boy'a zupełnie nieatrakcyjnym.

– Jak masz na imię? – spytał, bo facet nie odchodził. Stał w miejscu i najwyraźniej nie potrafił podjąć decyzji. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Impreza w domu musiała mu przeszkadzać, ale nie porozmawiał z bratem na ten temat.

Zapewne przyszedł tu po to, żeby zapalić w samotności na świeżym powietrzu, a teraz utknął z gwiazdą Rocka, o której nawet mimowolnie musiał co nieco słyszeć, nawet jeśli nie był fanem takiej muzyki, i zapewne nie było to nic chlubnego. I sierota nie wiedziała, co zrobić.

Jezu. Sancio Boy'owi przypomniła się ta kupka nieszczęścia w postaci Saszy zaraz po tym, jak przytargał go siłą do swojego domu\*. On jednak przynajmniej umiał pokazać pazurki, gdy trzeba było. Muzyk mimowolnie uśmiechnął się na to wspomnienie. To była najlepsza decyzja, jaką podjął w życiu.

– Tom – padło w końcu.

– Serio? Totalnie nie pasuje do ciebie – podłapał Santa. Nawet nie próbował ukryć drwiny w głosie. – Tom kojarzy mi się z Tomem Hanksem. A Tom Hanks jest zajebisty.

Spojrzał w bok, na Toma, który teraz także opierał się o barierkę i palił papierosa. Spodziewał się jakiejś reakcji, przecież go obraził. Nic. Zero.

– No, to powiedz, jak było. Jedyna taka szansa. Już ustaliliśmy, że więcej się nie spotkamy. Za kilka godzin jedziemy dalej. Będzie ci lżej, jeśli się komuś wygadasz, nawet takiemu wrednemu gościowi jak ja.

– Nie wiem, czy jesteś wredny – zaczął po chwili Tom, zerkając na niego niemalże ukradkiem. – Może jesteś po prostu szczerzy, a tego ludzie nie lubią najbardziej. Nie ma tu czego opowiadać, po prostu mnie uderzył, a ja wyszedłem. Cała historia.



Santa Boy chciał z nim pogadać, żeby rozproszyć czymś własne, nieprzyjemne myśli. Jednak uzyskał odwrotny efekt od zamierzonego, bo tylko bardziej się zirytował.

– To nigdy nie jest „cała historia” – rzucił, zgniatając niedopałek na balustradzie, co spotkało się z deprymującym spojrzeniem właściciela domu, ale ani jednym słowem uwagi. – Nie wiem... Puściłeś się?

– Nie – odparł natychmiastowo Tom, z czymś w głosie, co nawet przypominało oburzenie.

– Obraziłeś jego matkę?

– Nie.

– Potrafiłeś psa i nie zatrzymałeś się, żeby mu pomóc?

– Słucham? – zdziwił się Tom. – Nie. I za to miałby mnie uderzyć?

Santa Boy wzruszył ramionami, a na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Nie wiem – odparł – ale mnie by Sasza za to przywalił. Kocha psy.

– I co byś wtedy zrobił? – spytał Tom nagle ożywionym głosem.

– Nic.

– Naprawdę nic?

To wydało się szczerze go zainteresować. Może dlatego, że aparycja i postawa Santy Boy'a skłaniały do konkluzji, że był on człowiekiem, który w takiej sytuacji nie zrobiłby „nic”. Raczej wybiłby ci kilka zębów.

– Nic – powtórzył muzyk. – Po pierwsze byłoby to zasłużone, jeśli rzeczywiście porzuciłbym potrąconego psa. Ale nawet jeśli przywaliłby mi, bo taką miał ochotę, to też bym nic nie zrobił, bo najbardziej na świecie boję się tego, że by mnie zostawił. Bo już dorósł, już mnie nie potrzebuje i może żyć beze mnie. A ja bez niego nie. Dlatego nic bym nie zrobił. Ze strachu.

Tom zaczął się śmiać. Jego ramiona lekko drgały.

– Wiesz – zaczął, uśmiechając się krzywo – on jest lekarzem, zastępcą ordynatora oddziału. Wrócił ostatnio wkurzony z dyżuru, bo pokłócił się ze współpracownikiem. Dlatego mi przywalił. Żeby się wyładować.

– Rzuć go – poradził Santa na odchodnym.

Nie miał nic więcej do powiedzenia tej zgarbionej porażce, mielącej niepodłonego papierosa między pacami. Nie interesował go. Miał go gdzieś, jak większość ludzi. Nie zależało mu prawie na nikim.

Wrócił do domu i udał się do łazienki. Gdy przekroczył jej próg, Sasza właśnie nachylał się nad umywalką i przepłukiwał usta. Wydawał się bledszy niż zazwyczaj. Sińce pod jego wyłupiastymi oczami były wyraźniejsze.

– No, skończyłeś już mordować swoje komórki nabłonkowe i uszkadzać szkliwo? – spytał Santa.

– Co? – zdziwił się Sasza.

– Chyba skończyłeś chociaż podstawówkę? Serio, muszę ci tłumaczyć, że rzyganie źle wpływa na układ pokarmowy i zęby?

– Jezu... – jęknął chłopak, krzywiąc się. – Czasami trudno mi pojąć, jakimi ścieżkami wędrują twoje myśli. Coś ci tam nie styka.

– Sam chciałbym to wiedzieć. No, to chyba możemy się już zbierać?

Sasza przetarł twarz papierem toaletowym i poprawił jeszcze fryzurę przed lustrem.

– Gdzie niby? Ja mam siłę tylko na spanie. Nie zostajemy tutaj na noc?

– Moje kości są za stare, żeby miał je odgniatać na jakiejś kanapie – odparł Santa Boy. – Te lata minęły. Wynająłem nam pokój w hotelu nieopodal.

– Spoko.

Tydzień później wrócili już do swojego ciasnego mieszkania. Po walnięciu torby na korytarzu pierwszym, co zrobił Sasza, było udanie się do sypialni i rzucenie na łóżko. Gdy padł plecami na pościel, wzniósł przy tym tuman kurzu. Czekająco jeszcze sprzątanie, ale ta perspektywa nie wydawała mu się aż tak bardzo nieprzyjemna. W końcu „wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”, nawet jeśli najpierw trzeba go odkurzyć.

Cieszył się, że znów będą tylko we dwóch w ich małym, hermetycznym świecie.

\*\*\*

Coś było nie tak. Coś się zmieniło. Coś się pieprzyło. Takie myśli krążyły po głowie Saszy, siały w niej spustoszenie i zamęt, gdy pewnej nocy leżał na plecach na ich wspólnym łóżku, zupełnie bezwładny, z rozrzuconymi na boki rękami i tępo gapił się w sufit, który szpeciły spękania poszarzałej farby. Santa Boy leżał obok, na tyle blisko, że czuł ciepło bijące od jego ciała. Jak zwykle na boku, plecami do niego. Spał. Sasza nie musiał spojrzeć na jego twarz, żeby to stwierdzić. Wystarczyło, że słyszał jego oddech.

Santa po wszystkim po prostu obrócił się i zasnął. Nie ubrał się, jedynie naciągnął na siebie kołdrę. Przeleciał go, obrócił się plecami i poszedł spać. Tak po prostu. Sasza słyszał, że w małżeństwach z długim stażem seks staje się wręcz obowiązkiem. Dla kobiety. Ona wgapia się wtedy w sufit i myśląc o tym, co jutro ugotuje na obiad, czeka, aż małżonek zadowolony sam siebie. Po wszystkim jedynie obciągnie koszulę nocną na uda i pójdzie spać. Dotąd tylko o czymś takim słyszał. Aż do dzisiaj.

Więc... Sasza obrócił głowę i spojrzał na skąpaną w mroku sylwetkę Santy Boy'a. Czy to właśnie się teraz stało? Santa Boy odbębnił, co musiał, i odwrócił się do niego plecami. To zupełnie jakby przeleciał go z obowiązku. Jakby to on był ową znudzoną żoną.

Sasza napiął wszystkie mięśnie i uniósł się do siadu z ciężkim westchnieniem. Obtarł się pobieżnie z potu bluzą, która wisiała przerzucona przez oparcie krzesła, a potem narzucił na ramiona szlafrok. Na bosaka udał się do kuchni, by zrobić sobie herbatę. On nie zaśnie tej nocy tak łatwo jak Santa Boy.

Oparł się o blat stołu, czekając, aż zagotuje się woda w elektrycznym czajniku. Syknął, bo spotkanie jego miednicy z krawędzią mebla nie należało do najprzyjemniejszych. Pomasował się po tamtym miejscu. To mu o czymś przypomniało. Kilka dni temu Santa ni stąd, ni zowąd rzucił to swoje „znowu schudłeś”, gdy mijali się w łazience nad ranem. Sasza słyszał przynajmniej tysiąc razy padające z jego ust uszczypliwości, właśnie z tym na czele, ale wtedy wyczuł w tonie muzyka coś innego. Santa często posługiwał się sarkazmem albo ironią, żeby ukryć swoje prawdziwe intencje, chociażby to, że się martwi. Tym razem jednak było inaczej. On mu to wypomniał. Za „znowu schudłeś” nie kryło się jak zwykle „może

znowu masz problemy z tarczycą, idź się zbadać”, tylko „przestań opuszczać treningi na siłowni i zrób coś ze sobą”.

Nie to jednak sprawiło, że od kilku dni zmarszczka pomiędzy brwiami Saszy nie zniknęła. Pewnie nawet nie wychwyciłby tej drobnej małej zmiany, gdyby nie to, co wydarzyło niedługo po ich powrocie z trasy koncertowej. Ledwie kilka dni Santa Boy zdołał usiedzieć w domu, nie robiąc nic i ciesząc się brakiem obowiązków. Normalny człowiek pewnie korzystałby z okazji, ile tylko by się dało. Sasza miał taki zamiar. Przynajmniej tydzień spędzić wyłącznie w łóżku na czynnościach wymagających od niego mniejszej lub większej aktywności. W zależności od ochoty. Planował oglądać Discovery Channel z parzającymi się na sawannie lwami, a potem odtworzyć to, co zobaczyli razem z Santą na ekranie. I tak na zmianę. To wydawało się być świetnym planem.

Santa Boy jednak nie podzielał jego entuzjazmu. Na ich miękkim materacu wykurował obolałe plecy, które przez ostatnie miesiące musiały znosić niedogodności ciągłej podróży. Zajęło mu to może trzy dni, a potem bez słowa wytłumaczenia, czy chociażby kartki zostawionej na stole zniknął gdzieś na całą dobę. Sasza na brak Santy jedynie wzruszył ramionami. Nie byli przecież papużkami nierozłączkami. Zaniepokoił się, dopiero gdy ten w końcu wrócił. Na pytanie „Gdzie byłeś?” uzyskał jedynie odpowiedź w postaci prychnięcia i pobłażliwego spojrzenia głęboko osadzonych, ciemnych oczu. Później Santa Boy zniknął w łazience, by wziąć prysznic, a następnie położył się spać.

– Przestań wreszcie za mną chodzić jak pies – syknął, gdy Sasza pojawił się w sypialni. – I może wreszcie zajmij się swoim własnym życiem.

Potem odwrócił się do niego tyłem, ostentacyjnie dając znać, że to koniec rozmowy.

I rzeczywiście, więcej już do tego nie wracali. Sasza nie wracał. Wmawiał sobie, że nie powinien się czepiać byle pierdół. Przejmować się nimi. Każdy może mieć gorszy dzień, ale w środku czuł, że coś się szykuje. Coś dużego.

I dzisiaj jeszcze ten numer z łaski.

– Znowu? – rzucił do siebie, zalewając wodą torebkę herbaty w czarnym kubku z nadrukowanym gotyckim kotem. Zatrzęsa mu się przy tym dłoń, więc trochę wylał na ladę. – Cholera.

Zaśmiał się gorzko i pociągnął nosem, wyciągając ze zlewu gąbkę. Był na to za stary. Za drugim razem już mu się nie uda tego przetrwać. Umrze. Nie zniesie drugiego Matta Hetfielda.

Łyżeczka wypadła mu z dłoni i brzdękiem uderzyła o kafelki na podłodze, gdy usłyszał za sobą kroki. Obejrzał się. Santa Boy nie obdarzył go nawet spojrzeniem. Ziewnął i przeczesał włosy. Dalej miał na sobie tylko bieliznę. Bez słowa podszedł do szafki i wyciągnął z niej kubek, w którym zwykle pijał kawę. Włączył ekspres.

Sasza obserwował go bez słowa, palce jednej dłoni zaciskając na ceramicznym kubku. On rzeczywiście schudł ostatnio dość znacznie, Santa Boy miał rację, gdy mu to wypomniał. Jego waga zawsze spadała, gdy przestawał się tym przejmować. A on przestał regularnie ćwiczyć, gdy porzucił swoją karierę strażaka, czyli kiedy wrócił do ciasnego, zakurzonego mieszkanka muzyka.

Santa Boy za to znowu odmłodził. I w głównej mierze nie była to zasługa tego, że postanowił ponownie zapuścić włosy, które nadal miał bardzo gęste i tego, że regularnie farbował je na czarno. Zawsze był dobrze zbudowany, ale ostatnimi laty trochę się zapuścił. Saszy to nie przeszkadzało, ale najwyraźniej Sancier ostatnio zaczęło. Regularnie ćwiczył i nawet zaczął chodzić na basen. Miał karnet. Szybko przyniosło to miłe dla oka efekty, które Sasza właśnie oglądał i które wcale jednak go nie cieszyły.

– I co się tak gapisz jak sroka w gnat? – rzucił mężczyzna w kierunku Saszy. – Widzisz mnie przecież codziennie. Nie napatrzyłeś się jeszcze?

– Kawa o tej porze? – spytał chłopak, ignorując komentarz. – Jeszcze moment temu smacznie chrapałeś.

– Jerry napisał, że ma teraz dobry nastrój do skomponowania paru numerów, bo bzyknął jakąś bardzo elastyczną joginkę i to go natchnęło do sklecenia kilku riffów. Poczul w sobie energię zen. – Zaśmiał się muzyk, słodząc kawę. – Spotkamy się w studiu nagrań. Trochę pobrzdakamy.

– Och – zainteresował się Sasza – to może też pojadę?

Santa Boy miał właśnie wziąć pierwszy łyk kawy, ale nim przytknął brzeg kubka do ust, parsknął śmiechem.

– Niby po co? – spytał kpiąco. – Jesteś dobrym odtwórcą, ale twórca z ciebie żaden. Wypij herbatkę, wysikaj się i idź spać. Wrócę rano, zapewne nawalony. Nie myj podłogi, bo jeszcze się wyjebię.

– I co to niby ma znaczyć?

– To, że może zająłbyś się wreszcie swoim życiem i przestał chodzić za mną jak pies? Chyba niedawno mówiłem ci coś podobnego. Pomyślałeś kiedyś o tym, że wszedłeś już w czwartą dekadę swojego życia? – spytał Santa, niespodziewanie poważniejąc. – I co do tej pory osiągnąłeś? Sam? Wiedziałeś, że masz stronę na Wikipedii? I wiesz, co tam o tobie pisze? „Sasza Rockwell – aktualny partner Marshalla Biela, znanego szerzej jako Santa Boy”. Mniej więcej tyle.

Nie uzyskał żadnej odpowiedzi od Saszy, którego i tak naturalnie wyłupiaste oczy, wydawały się teraz wręcz być bliskie opuszczenia oczodołów, więc kontynuował:

– I to może się zmienić jedynie na dwa sposoby. Albo coś tam dopiszą, albo coś skreślą.

Zabrał swój kubek z kawą i wyszedł z kuchni, zostawiając oniemiałego Saszę samego.

\*Bonus do ebooka „Texas Brothers”.

## Rozdział 2

– Mamo, wróciłem.

Susanne uśmiechnęła się ciepło do syna, stojąc w progu swojego mieszkania. Zaraz pokiwała jednak lekko głową w wyrazie rezygnacji.

– To o co teraz poszło? – spytała. Nie musiała bardziej precyzować pytania. Mogło chodzić tylko o jedną osobę.

Jej syn odpowiedział takim samym uśmiechem.

– A żebym ja wiedział – odparł po chwili, wyraźnie zrezygnowany.

Spiął się po schodach i przekroczył próg domu, by uścisnąć matkę. Susanne pogłaskała po go wystrzyżonej na jeża głowie z czerwonym irokezem po środku, trochę jak niesfornego psa, który jest tak uroczy, że i tak wszystko mu się wybacza. Nawet głupotę.

Usiedli w salonie przy kawie i kanapkach z masłem orzechowym i dżemem. Gdy je robili w kuchni, odbyli dyskusję na temat tego, co powinno być u góry. Sasza dotąd nawet nie miał pojęcia, jak mu tego brakowało – głupkowatej rozmowy o niczym.

Mąż Susanne, Greg, miał wrócić dopiero za kilka godzin ze swojej zmiany na pogotowiu ratunkowym. Byli więc w domu sami. Z talerzem zawalonym stosem kanapek z dolną warstwą z masła orzechowego, a górną z dżemu truskawkowego roz siedli się w salonie.

– No – ponagliła matka Saszy, dmuchając na swoją czarną, parująca kawę – przecież dopiero co dzwoniłeś z trasy i wszystko było super.

– Dlaczego od razu to musi być „coś”? A nie mogłem przyjechać tylko dlatego, że chciałem cię zobaczyć?

– Nie rozśmieszaj mnie, Sasza.

Mimo własnych słów Susanne znów się zaśmiała, najwyraźniej z nieporadności swojego jedyne go syna, a on jej zawtórował. Jej widok, takiej rozświetlonej, w kolejnym z tych pastelowych sweterków, jakoś ot tak zrzucił mu kilka kilo ciężaru z ramion. Od razu zrobiło mu się lżej na duszy. Zakładając, że w ogóle ją miał, oczywiście.

– Serio nie wiem – odpowiedział, poważniejąc, na pierwsze pytanie matki, to zadane jeszcze nim wszedł do domu. – Boję się.

– Niby czego takiego?

– Nie wytrzymam tego drugi raz – wyznał szczerze. – Jeśli on znowu mi to zrobił, to tego nie wytrzymam. Ja już jestem za stary na takie akcje.

– Zaraz... – Susanne odłożyła filiżankę z kawą i marszcząc brwi, spojrzała na syna znacznie bardziej skupiona. Spodziewała się jakiejś dramy jak z brazylijskiej telenoweli, jej syn najwyraźniej miał do nich skłonności, ale nie czegoś tej skali. – Jak to „drugi raz”?! Ta czarna, wytatuowana świnia cię zdradziła?!

Sasza skrzywił się na te słowa, mimo że miał w ustach kęs kanapki ze słodkim dżemem i masłem orzechowym. Nieprzyjemnie było usłyszeć to, czego samemu nie miało się odwagi głośno wyartykułować. Wzdrygnął się, gdy chuda, pomarszczona twarz Susanne napięła się w wyrazie wściekłości. Pomarańczowe, sterczące włosy tylko podkreśliły furję, która wyraźnie ją teraz ogarnęła.

– Nie wiem – zaprzeczył szybko Sasza. – Nic nie wiem, ale coś się dzieje. On nic nie mówi. Właściwie nie, on mówi aż za dużo. Dokładnie to, czego ja nie chcę o sobie usłyszeć. On doskonale wie, co mnie uwiera we mnie samym. Zna mnie jak nikt inny. Jak to się mówi? Znać się jak łyse konie. I teraz wyciąga te szpile i wbija mi je w podeszwę stopy – tam gdzie skóra jest bardzo delikatna, a samemu trudno jest dosięgnąć.

– Przecież on zawsze taki był. Do przyjemnych to on nigdy nie należał – zauważyła Susanne. – Nie powinnam tego mówić jako twoja matka, ale to kawał chuja jest.

– I zawsze mi dogryzał, ale to nigdy nie było na poważnie. Nie mówię, że nie bolało, ale... Ale on teraz nie żartuje. Pyta się mnie, przesywając tym szyderczym spojrzeniem: „Masz już trzydzieści lat i co dotąd osiągnąłeś”? I nie wiem tylko, czy tylko wyśmiewa to jakim jestem życiowym niedorajdą, czy porównuje mnie do siebie w tym wieku, czy może porównuje do kogoś innego. A ja już jestem na to za stary... kurwa.

– Nie klnij.



– Tak, mam – odparł Sasza tonem, jakby siedział w szkolnej ławce, i oboje się roześmiali. Zrobiło mu się jakoś lżej. Ugryzł kolejny kęs słodkiej kanapki.

– Dobra. – Susanne odstawiła na stolik opróżniony z kawy kubek i wstała. – Muszę zająć się pewnymi sprawami. Mógłbyś coś dla mnie załatwić? – zwróciła się do syna. – Odbierz wieczorem meble od Tony’ego, dobrze?

– Okej – odparł zdezorientowany tym nagłym pośpiechem matki Sasza. – Ale tak właściwie, to gdzie idziesz?

– Nie wtykaj we wszystko nosa, bo ci odpadnie.

Zgodnie z prośbą matki, która zaraz po kawie wybrała się gdzieś samochodem i nie wróciła przez kilka godzin, wieczorem udał się do zakładu Tony’ego, miejscowej złotej rączki, u którego kiedyś pracował. Tam musiał wypić w towarzystwie właściciela obowiązkową herbatę w szklance z czerwonym uszkiem. To przywoływało wspomnienia. Chociażby to, jak Marcio, kierowany swoim latynoskim temperamentem, rzucił identyczną szklanką, a ta rozbiła się o ścianę tuż koło głowy Saszy.

– Proszę, nie przypominaj sobie tego – jęknął Tony, najwyraźniej rozgryzając jego myśli, bo Sasza z uśmiechem patrzył właśnie na tę ścianę.

– Hej, przynajmniej było zabawnie. A ty przynajmniej czułeś, że mu zależy. Powiedz, nie cieszyło cię to, tak gdzieś w środku?

Tony posłał mu lekko spłoszony uśmiech i ukrył zarośniętą twarz za szklanką z herbatą. Rumienił się lekko, gdy tak siedział taki zgarbiony na własnoręcznie zrobionym zydelku.

– Miał w sobie dużo uczucia – przyznał, uśmiechając się mimowolnie. – Chociaż często wyrażał je na wywołujące zażenowanie sposoby, to tak, miło było poczuć się ważnym. Wyjątkowym.

– Kumam. – Sasza uśmiechnął się smutno. „Kumał” bardzo dobrze.

Tony zaśmiał się głośniej.

– No musisz kumać – rzucił. – Przecież jesteś chłopakiem króla Rocka. Jedyne takiego gościa.

Sasza parsknął, słysząc jego nagle ożywiony głos. Prawie zapomniał, jak zagorzałym fanem High Death był jego były pracodawca. Spojrzał na szklankę z czerwonym uchem, którą ścisnął w dłoniach. Tony nie mógł mieć bardziej mylnych wyobrażeń na jego temat, czy na temat jego związku w Santą, przynajmniej jeśli chodziło o ostatnie tygodnie.

– Posucha – przyznał. Musiał to komuś powiedzieć, a matce przecież nie mógł. Ich relacje nie były aż tak progresywne.

– Serio? – zainteresował się Tony, nie mogąc zwalczyć gryzącej go, szczeniackiej ciekawości. To w końcu był Santa Boy.

– No. – Sasza odchrząknął już speszony tym, czego jeszcze nie zdążył powiedzieć. – Od jakiegoś czasu nasze poranki w kuchni wyglądają mniej więcej jak ta nasza wspólna herbatka teraz. Prawie się na siebie nie patrzymy i prawie się do siebie nie odzywamy. W sumie, nie musimy, bo przecież znamy się od dawna. On nie musi pytać, jaką lubię kawę, a ja nie muszę pytać, jak bardzo wysmażone chce tosty. Jemy, siedząc po przeciwnych stronach stołu. Santa z nosem w porannej gazecie, a ja przeglądam neta na smartfonie. Chociaż tak naprawdę tylko udaję. Mój wzrok mniej lub bardziej mimowolnie co chwilę skupia się na jego odsłoniętej, owłosionej łydce. Unoszę spłoszony swoimi myślami wzrok wprost na blat koło kuchenki za jego szerokimi plecami. I już nie mogę tego powstrzymać. Wyobrażam sobie, jak tymi wielkimi, szorstkimi łapami gitarzysty chwyta mnie w pasie i sadza na tym blacie z taką lekkością, jak gdybym był tylko kukłą. Jak każe mi się rozebrać, a potem tym spojrzeniem największego skurwiela na świecie ocenia każdy centymetr mojego ciała, by je wyszydzić. Jak w końcu podchodzi do mnie, zaciska dłonie na moim tułowie, a potem wbija mi palce pod żebra. A ja zagryzam wargę prawie do krwi z bólu i na widok tego, jaki jest podniecony... No, na to, żeby kontynuować, jestem zbyt pruderyjny.

Sasza oblał się rumieńcem. Jak zwykle bardziej zaczerwieniły się jego uszy niż policzki. Tony nic nie odpowiedział. Spuścił wzrok, skupiając go na swojej herbacie.

– Wiesz – odezwał się niespodziewanie w pewnym momencie – gdyby mnie ktoś tak pożałował, dokładnie takiego, jakim jestem, ze wszystkimi moimi wadami, to byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

– Tak mówisz, ale człowiek zawsze czuje głód. Nigdy nie będzie nasycony. Nawet jeśli wszystkie jego zachcianki zostaną spełnione, to będzie nasycony tylko przez chwilę, a potem jego głód będzie jeszcze większy. Będzie pożałował jeszcze więcej. I to go chyba czyni człowiekiem. Dlatego podbiła cały świat, ta wiecznie głodna małpa chodząca na dwóch nogach. A ja chyba jestem wyjątkiem potwierdzającym regułę. Bo ja tylko chcę, żeby było jak dawniej. Chcę, żeby zerznął mnie na tym kuchennym blacie, zanim wypije swoją poranną czarną kawę. I żeby później, przy tej kawie, ze mną porozmawiał. O byle czym, ale jednak. Strasznie żałosna ze mnie małpka.

\*\*\*

Susanne stanęła w progu małego, a schludnie urządzonego salonu jak wryta. Jadąc tu, w ogóle nie zakładała, że te brednie mogą okazać się prawdą. Obraz zdesperowanego króla Rocka, który jakiś czas temu stał przed drzwiami jej domu, wciąż był żywy w jej głowie. Wyglądał wtedy jak żalosny, zbity szczeniak, którego ktoś porzucił w deszczowy dzień. Dlatego pozwoliła mu przekroczyć próg jej domu. „Ten skurwiel naprawdę go kocha”, pomyślała wtedy. Była więc przekonana, że Santa Boy nie pozwoli sobie drugi raz stracić to, co miał szczęście odzyskać i na czym mu tak zależało. I dlatego nie wierzyła, że mógłby dopuścić się zdrady. Jednak teraz patrzyła rozszerzonymi oczami na siedzącą na kanapie w salonie Santy Boy’a piękną, młodą dziewczynę. Naprawdę wyjątkowo urodziwą. Taką symetryczną i proporcjonalną, jakby była wyciosaną z marmuru antyczną rzeźbą bogini.

– Nie podniecaj się tak – mruknął siedzący obok nastolatki Santa Boy, widząc minę kobiety, która bez zaproszenia wtargnęła do jego domu. – To moja córka.

– Co? – Susanne była wyraźnie zaskoczona. – Jak to córka? Sasza nawet nie napomknął.

– Może dlatego, że to moje dziecko? – zaproponował z kpiną w głosie muzyk. – A on macicy nie ma, więc nic mu do tego. Sprawdziłem wielokrotnie.

– Oszczędź mi – sapnęła kobieta na ten niewybredny komentarz dotyczący jej syna i weszła w głąb pokoju. – Mamy do pogadania.

– My? On nie jest aż tak żaloszny, żeby wysłać tu swoją matkę. Przyjechałaś tutaj bez jego wiedzy. Pewnie chcesz nadrobić te wszystkie lata, kiedy matką byłaś tylko na akcie urodzenia, ale to bardziej niż żaloszna próba. Nie wpychaj się tam, gdzie cię nie potrzeba.

– Ale jazda – wtrąciła siedząca dotąd cicho Trish, nim Susanne zdążyła odpowiedzieć. – Prawie jak telenowela. Taka brazylijska, niskobudżetowa, ale jednak progresywna, bo z gejami.

Susanne zmierzyła ją wzrokiem. Gdy się dziewczynie bliżej przyjrzało, podobieństwo do Santy Boy'a robiło się oczywiste. Te same wwiercające się w siebie, świdrujące wręcz, prawie czarne, głęboko osadzone oczy i wyraźnie zarysowane kości policzkowe. U dziewczyny łączyło się to po prostu w subtelniejszą całość. Taka porcelanowa, indiańska księżniczka.

– To może zaczniemy od tego, co ta blada wersja Pocahontas tu robi? – spytała kobieta.

– A, to żadna tajemnica – odparła Trish, chociaż pytanie nie było skierowane do niej. – Uciekłam z domu. Pomyślałam, że zanim podążę utartą ścieżką moich starych, dentystów, zapytam mojego biologicznego ojca, czy warto było podążać ścieżką buntownika. Pomyślałam, że będzie mi jeszcze trudniej zostać przeciętnym, w miarę użytecznym członkiem społeczeństwa, gdy zobaczę go takiego spełnionego, świeżo po powrocie z udanej trasy koncertowej, z tym naiwnym, chudym gościem wgapionym w niego jak w świętą ikonę. A tu proszę, zastałam taką tragedię. – Wskazała na Santę Boy'a, który skrzywił się wyraźnie. – Cóż, chyba czas wiertło dentystyczne chwycić w dłoń.

Co za dziwne stworzenie, pomyślała Susanne, nawet nie komentując nagłos tego wywodu, którego sensu nawet nie starała się pojąć. Geny to jednak wielka siła, uznała. Spojrzała na Santę Boy'a, który uśmiechnął się także mimowolnie, a potem sięgnął do kieszeni, wyciągając z niej kilka zmiętych banknotów o grubych nominałach.

– Nie ma nic do żarcia, więc jak zostajesz na noc, to skocz do spożywczaka – rzucił muzyk do swojej córki, wkładając jej banknoty za zausznik okularów, które miała na nosie.

– Jak subtelnie – prychnęła Trish, ale jednak podniosła się z kanapy. – Nie musisz mnie wypraszać, tatku. I tak nie lubię telenowel.

Wyminęła Susanne w przejściu, by nałożyć zostawione na środku przedpokoju buty. Po chwili zatrząskiwały się za nią drzwi. Matka Saszy odprowadziła ją spojrzeniem, wciąż tym wszystkim zszokowana. Weszła do salonu i usiadła w fotelu. Miał stąd dobry widok na ostry profil Santy Boy'a, który nawet nie obdarzył jej pojedynczym spojrzeniem.

– Wiem, że jako matka nawrócona chcesz zapunktować, ale odpuśćmy sobie to przedstawienie. To sprawa między mną i Saszą. Wracaj klepać swoich ćpunów po plecach.

– Wypadałoby zaproponować gościowi coś do picia – zauważyła Susanne, ignorując słowa muzyka.

– Jesteś nieproszonym gościem.

Susanne założyła nogę na nogę i rozsiadła się wygodniej w fotelu. Santa Boy pólleżał na skórzanej kanapie i gapił się tępo przez okno, ostentacyjnie dając kobiecie znać, że ma ją głęboko w poważaniu. Susanne pomyślała, że trochę przypomina to sesję u psychologa. Brakuje jej tylko notatnika.

Niespodziewanie rozmowę zaczął Santa Boy:

– Kiedy pierwszy raz poczułaś, że jesteś stara? – spytał w pewnym momencie. – I nie mam na myśli menopauzy.

– Hm? Może wtedy, gdy byłam na którymś z kolei koncercie High Death w życiu i coś mnie powstrzymała przed ściągnięciem podkoszulki, pod którą nie miałam stanika, chociaż na poprzednich zawsze to robiłam. Pomyślałam wtedy, że mnie już nie wypada. Kurde, pamiętam to jak dzisiaj. – Zaśmiała się Susanne, ale rozbawienie szybko spłynęło z jej pomarszczonej twarzy. – Chyba mi teraz nie powiesz, że masz kryzys wieku średniego, więc musiałeś jak przeciętny samiec podpompować swoje ego, zaliczając jakiś szczeniaków? Bo to by było bardziej niż żalotne. Dla ciebie, a przede wszystkim dla mojego syna.

Santa Boy jedynie uśmiechnął się pobłaźliwie na te idiotyczne insynuacje. Choć, co musiał przyznać, nie były zupełnie bezpodstawne. Swoje w życiu nagrzeszył. Rana może się zasklepiła, a blizna pozostanie na zawsze. Nawet nie chciał wyobrażać sobie, jakie myśli, chore podejrzenia kotłowały się teraz w głowie Saszy, i przez które uciekł do swojej matki.

– Czterdzieści lat to chyba taka magiczna granica, co nie? – spytał. – Dla mnie jednak nie była. Po prostu kolejna kartka w kalendarzu do wyrwania. Ale trzydzieste urodziny Saszy już tak. Ha, jak o tym pomyśleć, to między mną i tobą jest mniejsza różnica wieku niż między mną i Saszą.

Susanne zmarszczyła brwi. Nie spodziewała się, że Santa Boy zechce się przed nią otworzyć. Tak po prostu. Przyjechała tu gotowa dać mu w mordę, jeśli to miałyby pomóc.

– Do czego zmierzasz?

– Ostatnio dużo rozmyślam. Zastanawiam się „A co by było gdyby”. To żalotne, bo nie ma przecież sensu rozdrabniać się nad przeszłością, której i tak nie da się zmienić. A ja sobie tak gdybam, jak ten stary, spróchniały dziad. Najczęściej myślę o tym, co by było, gdybym nie zabrał tamtego dnia Saszy spod drzwi frontowych mojego bloku. Myślę o tym, że spieprzyłem temu głupiemu dzieciakowi życie. Nie, żeby to było dla mnie coś nowego. Zrobiłem to wielu ludziom, jeśli tylko przynosiło mi to korzyści, ale on nie mieli dla mnie żadnej wartości.

Susanne popatrzyła na Santę Boy’a szczerze zaskoczona. Mężczyzna, mówiąc to, nie patrzył na nią. Cały czas nieruchomo spoglądał przez okno. Chyba po prostu się wstydził. Dlaczego w ogóle zaczął z nią rozmawiać? – zastanowiła się. Prawie, jakby szukał pomocy.

– Wiele sobie wyjaśniliśmy z Saszą. Powiedział mi, co się z nim działo, gdy uciekł z domu, bo, jak to ująłeś, byłam tylko matką na akcie urodzenia. On uważa, że go uratowałeś.

Santa Boy zaśmiał się gardłowo.

– Uratowałem siebie. Jestem narcystycznym skurwysynem, wziąłem go, żeby uratować siebie.

– Może, ale przy okazji uratowałeś też jego. Właściwie nigdy ci za to nie podziękowałam. Więc dziękuję teraz.

– Za co? – parsknął Santa. – Gdyby nie ja, ty byś to zrobiła.

– Co masz na myśli? Przecież uciekł właśnie ode mnie.

– Właśnie. I to cię otrzeźwiło. A on, gdyby już znalazł się na samym dnie, zrobiłby to, co każdy na jego miejscu. Wróciliby do domu, do matki. I zobaczyłby wtedy ciebie, trzeźwą, w tym pastelowym sweterku, udzielająca się społecznie sympatyczną panią w średnim wieku. I ty byś go uratowała, a on nie zostałby zamknięty w klatce.

Santa Boy wyprostował się i usiadł powrotem na kanapie. Z kieszeni czarnych dżinsów wydobyl zmiętą paczkę papierosów. Wyciągnął jednego, ale złamał mu się w palcach, nim zdążył go zapalić. Skomentował to cichym przekleństwem. Susanne patrzyła chwilę na niego z uniesionymi brwiami, a potem zaczęła się śmiać. Rzeczywiście telenowela.

– Spierdoliłem mu życie. Zrobiłem z niego coś na kształt skundlonego sznaucera, który czuje się spełniony, gdy przyniesie patyk swojemu panu i zostanie za to pochwalony. Boi się lasu, nie chce przemierzać stepów, biegnąc przez trawy. Najlepiej czuje się tu, zamknięty w czterech ścianach małego, zakurzonego mieszkania swojego pana, za którym ślepo podąża.

– Do czego zmierzasz?

Santa Boy zaczesał do tyłu farbowane na czarno włosy, które opadły mu na czoło. Zastygł tak, z dłonią na szczycie głowy.

– Zastanawiam się... – zaczął powoli. – Zastanawiam się, czy on w ogóle jest gejem. Przecież on nigdy przede mną nie był z facetem. Pewnie nawet o tym nie myślał. Może nawet mógłby świadomie stworzyć coś, co ja stworzyłem nieświadomie. I może nie byłoby to takie wredne. I może mógłby zostać tym strażakiem. Zamiast zostać... No właśnie kim? Przydupasem wypalanej gwiazdy Rocka? Nie uważasz, że to żalodne?

### Rozdział 3

– On kiedyś złamał palce gościowi, naszemu sąsiadowi, gdy ten nazwał mnie pedalem. Czy tam ciotą, już nawet nie pamiętam.

Tony otworzył zaczerwienione oczy, by obdarzyć leżącego obok Saszę zamglonym spojrzeniem. Obaj byli porządnie wstawieni. Po czwartej kolejce puszkowanego, taniego piwa z pobliskiego marketu doszli do wspólnego wniosku, że fajnie byłoby pooglądać gwiazdy z dachu zakładu Tony’ego. Tu, leżąc na kocu, kontynuowali opróżnianie drugiego sześciopaka lokalnego sikacza.

Utknęli tu na całą noc, bo byli jeszcze na tyle trzeźwi, aby uznać, że schodzenie po schodach pożarowych, które właściwie były metalową, poluzowaną drabiną, w ich stanie było bardzo karkołomnym wyzwaniem. I mogło skończyć się bardzo źle. Pogoda jednak im sprzyjała. Było ciepło, a gwiazd nie przysłaniała ani jedna chmura.

– Zaimponowało ci to? – spytał Tony. – Co ty, dzieciak?

– Nie oficjalnie. – Zaśmiał się bełkotliwie Sasza. – Bąknąłem coś tam Sancie, żeby dał sobie siana i nie przejmował się jakimiś debilem. Żeby nie zachowywał się jak dzieciak, właśnie. To mu powiedziałem, ale w środku sikałem po nogach jak jakiś szczeniak. Wiesz, kiedyś było między nami tak, że musiałem się przemóc, aby odezwać się do niego jako pierwszy. Gdy szliśmy gdzieś za nim, zawsze szedłem trochę za nim, a nie obok niego. Jak jego pies, czy, bardziej adekwatnie, jak jego suka. Patrzyłem na jego szerokie plecy i czarne włosy sklezione lakierem, które falowały w rytm jego kroków. Był między nami wtedy straszny dystans, ale jeślibym się przewrócił, to byłem pewny, że on by się zatrzymał i pomógłby mi wstać, oczywiście okraszając to jakąś depczącą moje poczucie godności uwagą. A gdybym przewrócił się, bo ktoś podstawił mi nogę, to by mu tę nogę złamał... Teraz zastanawiam się, czy on by się w ogóle zatrzymał, bo nawet nie liczę na to, że by się odwrócił, żeby pomóc mi wstać.

– Może już nie pij więcej, co? – zaproponował Tony po wysłuchaniu tego nieskładnego monologu swojego byłego pracownika.

Ułożył się wygodniej na kocu, tuż obok Saszy. Stykali się samymi końcówkami palców. Było naprawdę przyjemnie. Sasza czuł się dziwnie lekko, jakby zrzucił kilka



kilogramów ciężaru z ramion. W jego głowie coś przyjemnie wirowało, nie pozwalając mu skupić myśli na niczym konkretnym. Odwrócił twarz w stronę leżącego obok Tony'ego – jego przyjaciela, a niegdyś także pracodawcy. Uśmiechnął się szeroko, patrząc na niego iskrzącymi oczami. Sięgnął dłonią, aby skubnąć jego krótką bródkę. Zahaczył przy tym o jego dolną wargę. Była ciepła, lekko spierzchnięta i wilgotna.

Tak, wszystko było takie proste.

\*\*\*

Sancie Boy'owi zajęło chwilę czasu, nim pojawił się, gdzie się znajduje. Noc spędził na kanapie, bardziej siedząc niż leżąc, w dodatku z szyją wygiętą pod jakimś niemożliwym do osiągnięcia przez trzeźwego człowieka kątem. Teraz odwdzięczała się paralizującym bólem naciągniętego mięśnia. Santa pomasażował się po szyi i rozejrzał po pokoju zamglonym jeszcze wzrokiem. Jego córka, która wczoraj opróżniła z nim butelkę wina, spała obok, zwinięta w kłębek niczym kot. Wyglądało na to, że miała jakiś przyjemny sen, bo jej jasną twarz zdobił uśmiech. Na fotelu zaś chrapała Susanne. Santę zdziwił jej widok, bo kobieta w ogóle wczoraj nie piła. Nic więc nie stało na przeszkodzie, by udała się do pokoju i spędziła noc w bardziej komfortowych warunkach.

– Więc tak wyglądałoby moje życie, gdybym był przeciętnym Amerykaninem po czterdziestce? – mruknął do siebie Santa, ogarniając spojrzeniem bałagan, jaki wczoraj po sobie zostawili. – Smutne to. Stara, przekwitła żona, na którą patrzę codziennie od dwudziestu lat, w tym od piętnastu z niechęcią. I progresywna córka, na którą wszystkie szczeniaki patrzą z wielką chęcią. Masakra.

Wstał i pomasażował się jeszcze raz po szyi.

– Tylko nie zaciąż z jakimś debilem, nim nie skończysz studiów – rzucił w kierunku Trish. – I co mam teraz zrobić?

Rozwiązanie pojawiło się samo, bo jego telefon porzucony na stoliku powiadomił o przyjściu wiadomości tekstowej.

– Sasza? – zdziwił się Santa, gdy zobaczył nadawcę. – Już się stęskniłeś? Słabo, nawet jak na ciebie.

Syknał niezadowolony, gdy okazało się, że wiadomość nie zawierała tekstu, a jedynie zdjęcie. Żeby je zobaczyć, musiał najpierw włączyć Internet. Frustrowały go takie rzeczy. Kiedyś wszystko było prostsze. Zdjęcie w końcu się załadowało. Santa Boy zobaczył zbliżenie uśmiechniętej twarzy, męskiej. Zdjęcie zrobione w porannym świetle było tak ostre, że nawet otwarte pory na nosie były dobrze widoczne. Na pierwszym planie znajdowało się jednak coś innego. Penis. Obnażony i objęty przez dłoń mężczyzny ze skórnymi problemami, który robił to zdjęcie. Santa Boy nie miał problemów z rozpoznaniem tego penisu. Widział go przecież setki razy, miał go w swoich dłoniach, ustach, gardle i w sobie.

Pomyślał, że powinien poczuć coś na kształt zadowolenia. Tego właśnie chciał, prawda? O tym właśnie ostatnimi czasy rozmyślał. Chciał dla Saszy wyzwolenia i właśnie jego dowód miał teraz przed oczami. Powinien czuć zadowolenie.

Czuł coś zgoła innego. Cisnął telefon z powrotem na stolik, nie zważając na to, czy go nie uszkodzi i czy hałas nie budzi Trish i Susanne.

W przedpokoju niemal wpadł na stojącego pod drzwiami Szczęściarza. Zupełnie zapomniał o jego istnieniu. Spojrzał na jego pysk. Na tą zdruzgotaną minę, którą robił. I już wiedział.

– Złałeś się w łazience, co nie? – spytał psa, a ten zastrzygł uszami. – I oczywiście na dywanik, a nie na płytki? Bo by było za prosto, co nie?

W łazience stopą odsunął wilgotny dywanik na bok. Umył zęby i się ogolił. Zaciął się przy tym dwa razy. Nie pamiętał, kiedy ostatnio mu się to przydarzyło. Jego krew skapywała do umywalki. Patrzył na nią dłuższą chwilę, nim wreszcie odkręcił wodę i splukał ją wraz z pianą. Wytarł twarz ręcznikiem. Gdy go odsunął, napotkał w lustrze swoje odbicie. Jego oczy były podkrążone, a skóra ściągnięta. Kurczowo zaciskał spękane wargi.

Czuł głód, ale nic nie zjadł. Nie wypił nawet porannej kawy, co było jego codziennym rytuałem. Ubrał się jak zwykle na czarno i wyszedł z mieszkania, trzaskając za sobą drzwiami. Zajęcie się kundlem postanowił zostawić starej prukwie i jego kopii z dwoma chromosomami X. Padało zaledwie ze dwa dni temu, a on czuł, jakby miał się zaraz udusić, mimo że ledwie co wyszedł na zewnątrz. Wsiadł

do samochodu zaparkowanego na ulicy i włączył silnik. Ruszył. Na policzku zrobił mu się już strup. Zdrapał go, a krew znów zaczęła się sączyć.

\*\*\*

Nie pamiętał szczegółów z poprzedniego wieczoru. Obudził się cały obolały z nieprzyjemnym pulsowaniem w głowie. Miał kaca. Leżał na dachu przykryty kocem i z poduszką pod głową. Tony musiał je przynieść specjalnie dla niego. Czuł, jakby coś było nie tak, ale nie potrafił sprecyzować co dokładnie. Wymacał prawą ręką telefon, ale nie mógł go znaleźć tam, gdzie się tego spodziewał. Rozglądał się wokoło. Smartfon leżał po jego lewej stronie. To było dziwne. Głupie zaś było to, że zwracał uwagę na takie rzeczy. Sam nie wiedział dlaczego.

Odblokował smartfona jednym ruchem palca i sprawdził godzinę oraz czy nie przyszły do niego żadne wiadomości. Może to było naiwne z jego strony, ale nie miał na telefonie żadnych zabezpieczeń. Urządzenie nie powiadomiło go o nieprzeczytanych wiadomościach. Tego się spodziewał, ale i tak poczuł rozczarowanie. Nim wreszcie wstał, zapiął guzik od spodni. Kolejne poranne zdziwienie.

Tony czekał na niego w swoim zagraconym warsztacie z czarną herbatą w szklance z czerwonym uszkiem i kanapką. Uśmiechnął się na ten widok. Tego mu było teraz trzeba. Przydałaby się jeszcze aspiryna.

Sasza zastanawiał się, co ma zrobić. Po śniadaniu składającym się z kanapek z ogórkiem, bo tylko to udało się znaleźć w lodówce Tony'emu, zadzwonił do matki. Kobieta powiedziała, że pojechała na cały dzień w odwiedziny do znajomego, a jej mąż ma dzisiaj dwunastogodzinną zmianę na pogotowiu. Mieszkanie było więc zupełnie puste. Sasza nie miał ochoty tam wracać. Nie miał pojęcia, co ze sobą zrobić. Z braku laku postanowił pomóc Tony'emu. Jak zwykle w jego warsztacie, który bardziej przypominał graciarnię, było wiele do roboty. Wiele układania i ścierania kurzów. Zawsze jednak było to jakieś zajęcie.

– Tony wyszedł na chwilę – rzucił, gdy w pewnym momencie usłyszał dzwonięcie dzwonka, o który uderzał kant drzwi, gdy ktoś je otwierał. Stał tyłem, więc nawet nie widział, kto wszedł. – Powinien być za kilka minut.

– Poczekam.

Cały zeszywniał, gdy usłyszał ten głos. Jedyny i niepowtarzalny. Zawsze mu się podał. Niski i mocno zachrypnięty, z erotyczną nutą. Teraz jednak wyczuł w nim coś innego. Groźbę. Gdy tylko doszło do niego to, że stoi za nim Santa Boy, poczuł ulgę i satysfakcję. Przyjechał po niego. Teraz jednak, gdy powoli się odwracał, miał obawy. Zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał, w końcu znali się od dawna, ale i tak zacisnął nagle zeszywniałe palce na ścierce, którą wycierał kurze, w geście zdenerwowania. Santa Boy był zły. Wściekły wręcz. Nie okazywał tego w jakiś ekspresyjny sposób i to właśnie czyniło sytuację jeszcze gorszą. Stał na środku pokoju, rzucając ostry, podłużny cień. Otaczała go jasna poświata, tak mocno kontrastująca z jego ciemny ubraniem. W świetle padającym przez otwarte drzwi tańczyły wzburzone przez jego wejście drobiny kurzu. Stał w bezruchu, wbijając ciemne spojrzenie głęboko osadzonych oczu w Saszę. Nawet nie mrugał przy tym zbyt często. Nie poruszał się, przypominał teraz wręcz antyczny pomnik jakiegoś boga, ale Sasza widział wyraźnie, jak drga mięsień na jego częściowo pokrytej tatuażem szyi.

– Nie poświęcałem ci wystarczająco dużo uwagi, więc spieszyłeś tutaj?  
– zdrwił Santa Boy. – Do nawróconej matki i do... Bardzo żalosne.

Miał rację, więc Sasza nie odpowiedział. Był też w za dużym szoku, aby to zrobić. Gorączkowo zastanawiał się, dlaczego mężczyzna tu teraz przed nim stoi. Zupełnie się tego nie spodziewał. Odpadało to, że przyjechał tu za nim, bo bał się, że Sasza postanowił go opuścić. Wtedy też byłby zły, ale dlatego, że dał się ponieść takiego rodzaju emocjom. Nie lubił przyznawać się do tego, że na kimś mu zależało. Jednak to było coś innego. Santa Boy był wściekły. Sasza znał go bardzo dobrze, więc mógł to stwierdzić chociażby po sposobie, w jaki zaciskały się jego wargi. Z tego, że włosy opadały mu na twarz, a on nie poprawiał ich swoim zwyczajowym gestem. Czarne pasma przysłaniały mu więc błyszczące od duszonych emocji oczy, co tylko sprawiało, że wyglądał jeszcze bardziej dziko. Saszę to przerażało, ale też budziło dziwną ekscytację.

Chorą, było tu lepszym określeniem. Stawał mu.

Tkwiał więc w miejscu zupełnie bez ruchu, pozwolił sobie tylko na oddychanie. Czekał na to, aż coś się wydarzy, jednak cisza, która zapadła między nimi, tylko się przedłużała. On nie chciał wykonać pierwszego ruchu. Od jakiegoś czasu to on

inicjował wszystko między nimi, zaczynając od normalnej rozmowy przy porannej kawie, a kończąc na jałowym ostatnio seksie. Miał tego dość. Chciał czegoś innego. Może to stanie się właśnie teraz.

Potem mogli przegadać to, co między nimi nie grało. To, co od jakiegoś czasu kotłowało się w czarcim czerepie Santy Boy'a, ale to później. Pewnie każdy psycholog pokręciłby na to ze zrezygnowaniem głową, ale Sasza chciał teraz seksu. Takiego patologicznego numerku ze wściekłości. Wszystko przez to jak Santa teraz wyglądał. Jak na niego patrzył. Zajebiście mocno teraz tego potrzebował, a myśląc o tym, tylko bardziej się nakręcał. Uwierał go już szew w spodniach.

Podniósł z powrotem wzrok na Santę Boy'a. Mężczyzna nie patrzył już na niego. Spojrzeniem prześlizgiwał się po wyposażeniu warsztatu, narzędziach powkładanych do kartonów stojących na drewnianych, zrobionych przez Tony'ego półkach. Jego farbowane niedawno włosy i metalowe ćwieki w kurtce iskrzyły się w ostrym, porannym świetle wpadającym przez otwarte drzwi. Teraz już nawet na niego nie patrzył.

– A pierdol się, stary zgredzie! – warknął Sasza i wyminął go z zamiarem wyjścia na zewnątrz. Więcej niż to nie zaplanował. Nie wiedział, gdzie pójdzie.

Zatrzymało go chwycenie za nadgarstek. Mocne i stanowcze. Santa Boy szarpnął nim, zmuszając chłopaka do obrócenia w swoją stronę. Sasza spojrzał na swoją unieruchomioną, podniesioną teraz rękę. Skurwiel miał naprawdę wiele siły. Chwycił go przy tym tak niefortunnie, że wykręcał mu skórę. Zostanie mu po tym ślad.

– No co?! – syknął sfrustrowany.

Santa patrzył się na niego przez chwilę, po czym niespodziewanie wypalił:

– Pieprzyłeś się z „panem MacGyverem”?

– Co...? – jęknął ledwo słyszalnie Sasza, którego to pytanie całkowicie zaskoczyło.

Nie miał pojęcia, skąd Santa Boy mógłby mieć takie podejrzenia. Zupełnie nie rozumiał, skąd to się wzięło. To, że spędził noc w mieszkaniu jakiegoś faceta, nie oznaczało automatycznie, że się z nim przespał. Już miał zacząć się tłumaczyć, ale nagle do głowy wpadł mu inny pomysł.

– A nawet jeśli? – rzucił, uśmiechając się przekornie. – Mnie to nie wolno? Tobie tak, a mnie nie?

– Zgadza się – odparł Santa bez chociażby mrugnięcia okiem. – Wiesz, moi polscy przodkowie wymyślili adekwatne do tej sytuacji powiedzenie: „Co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie”.

Sasza chciał mu tylko dopiec, ale teraz to sam się zirytował.

– Istnieją jakieś granice bezczelności i ty je właśnie przekroczyłeś! – warknął i szarpnął ręką, aby wyrwać się z uścisku.

Skończyło się to na tym, że Santa Boy, wciąż trzymając go za nadgarstek, wykręcił mu rękę na plecy. On naprawdę ostatnimi czasy polepszył formę, a Sasza się zapuścił. Nie był zbyt wielkim fanem treningów na siłowni i teraz miał okazję poczuć tego skutki. Poza sporą różnicą wzrostu i masy Santa Boy miał także dużą przewagę w sile.

– Bo co? – wyszczał swoim zachrypniętym głosem muzyk wprost do ucha Saszy. – Bo nie rznąłem cię tak, jak lubisz? Nie mogłeś się powstrzymać, zacisnąć swojej szpary? Heh, w końcu zawsze była z ciebie straszna suka. A ja głupi sądziłem, że może jest w tobie coś więcej. Najwyraźniej się myliłem.

Sztywne, zniszczone wielokrotnym farbowaniem włosy Santy drażniły skórę szyi Saszy. Prawie przez to zwariował, nie mógł się skupić, ale dotarło do niego znaczenie słów wyszeptanych mu do ucha. Zrozumiał ich przekaz... I nie mógł się z nimi nie zgodzić. Jego zdrada była jakąś bzdurą, jakimś wielkim nieporozumieniem, ale reszta to sama prawda. Był suką. Wierną, ale jednak suką.

Wykręcił głowę, by spojrzeć na stojącego za nim muzyka. Nic nie powiedział. Spojrzenie jego lekko wyłupiastych i nudnych, bo szarych oczu, mówiło samo za siebie. Prosił.

– Jaki ty jesteś brzydki – rzucił wręcz odkrywczym tonem Santa, a potem przysunął się jeszcze bardziej do Saszy, dociskając swojego biodra do jego tyłka.

Sasza poczuł, że mężczyzna był podniecony. Sam miał ten problem już od dłuższej chwili, więc skierował wolną dłoń do rozporzka spodni. Santa Boy jednak wyłapał kątem oka ten ruch, więc ta też została mu wykręcona na plecy. Spojrzał w kierunku drzwi, które wciąż były otwarte. Przesunął nogę w tył, aż nie wyczuł stopy

Santy Boy'a. Nadepnął na nią z całej siły i wyszarpnął się z uścisku. Zdezorientowany takim obrotem sprawy muzyk pozwolił mu się uwolnić.

– Kurwa! – syknął jedynie z bolesną nutą w głosie.

Sasza w tym czasie dopadł już do drzwi warsztatu. Chwycił za klamkę i krótką chwilę bił się jeszcze z myślami. Zatrzasnął je jednak i zaparł się o nie plecami. Spojrzał spod ściągniętych brwi na stojącego na środku pomieszczenia Santę Boy'a, którego twarz tylko przez moment zdradzała zaskoczenie. Zaraz pojawił się na niej jego firmowy, dupkowany uśmiech.

– Myślałem, że spieprzysz – przyznał rozbawiony. – Chyba za dużo się wciąż po tobie spodziewam.

– Ty skończ pieprzyć! – warknął Sasza i odbił się od drzwi.

Dopadł do Santy i chwycił go za kołnierz kurtki. Pociągnął ją gwałtownie, zmuszając go do pochylenia się. Sam musiał stanąć na palcach, aby wymusić na muzyku pocałunek. Zmiażdżył jego spierzchnięte wargi swoimi, a potem wepchnął do jego ust język. Zacisnął przy tym oczy. Trochę przez przyjemność, którą odczuwał, a trochę przez frustrację.

Santa Boy chwycił go za irokeza, aby ociągnąć go od siebie. Nie puścił go jednak. Patrzyli teraz na siebie z odległości kilkunastu centymetrów. Santa najwyraźniej nie mógł się zdecydować, jak postąpić z chłopakiem, a Saszę maltretowała ta stagnacja. Prawie sikał po nogach, wyczekując na to, co miał nadzieję, że się wydarzy. Przypomniał sobie ten chory numer z hotelowego pokoju, który zapewne nabawił bogu ducha winną pracownicę traumy na całe życie.

Nie mógł powstrzymać chichotu. Był beznadziejny. Wszystko się sypało, a on myślał o seksie.

Jęknął, gdy Santa szarpnął go za irokeza, wyginając mu przy tym szyję i zmuszając do uniesienia twarzy. Przesunął zimną dłoń na jego kark, a potem zacisnął ją pod jego gardłem. Całował go, nie pozwalając Saszy chwycić tchu. Chłopak załzawionymi oczami patrzył wprost w zmrużone niebezpiecznie ślepią Santy Boy'a. Jego białka były poprzecinane gęstą siecią czerwonych naczynek.

## Rozdział 4

To musiało się stać. Jeśli oglądało się amerykańskie komedie i sitcomy, to było do przewidzenia. Tony wrócił do swojego warsztatu w najmniej odpowiednim momencie, bo nawet nic konkretnego nie zdążyło się wydarzyć. Nadal byli w pełni ubrani. Gdy ostrzegająco zaskrzypiały zawiasy drzwi wejściowych i zaraz potem w pomieszczeniu pojawił się jego były szef, Sasza sapnął po prostu z czystej frustracji. Zaraz jednak przypomniał sobie, z kim ma do czynienia. Spojrzał na twarz stojącego obok Santy Boy'a i zobaczył to, czego najbardziej się obawiał, mianowicie ten jego szatański uśmiech. Muzyk zdążył ocenić już Tony'ego i zakwalifikować jako niegroźną wesz, a teraz w jego głowie zradzał jakiś diabelski plan. Saszy wystarczyło jedynie rzucenie na niego okiem, żeby to wiedzieć... Żle. Żeby być tego wręcz pewnym.

Niedobrze. Nie chciał dodatkowych ofiar.

– Tony... – zwrócił się do byłego pracodawcy, a jednocześnie przyjaciela – to jest... No przecież wiesz kto. I trochę trafiłeś na zły moment.

Zanim Tony, który od przekroczenia progu wciąż gapił się niemal cielecym wzrokiem na Santę Boy'a, zdążył cokolwiek odpowiedzieć, wtrącił się jego idol:

– No co ty mówisz, Sasza? – skarcił kochanka muzyk, używając do tego teatralnego, prawie słodkiego głosu, który zaraz jednak przeszedł w znacznie zimniejszy ton. – Wręcz nie mógł trafić lepiej.

Nim cokolwiek zdarzyło się wydarzyć, Sasza chwycił go za nadgarstek, próbując zastopować. Jego uścisk, choć mocny, wyrażał prośbę, jeśli nie błaganie. Tony też musiał wyczuć zmieniającą się atmosferę, może dojrzał ten diabelski błysk w oku muzyka, bo otrząsnął się z pierwszego zaszokowania i pojął, że najlepiej będzie wytłumaczyć sytuację:

– Chyba wiem, dlaczego tu jesteś – zaczął. – To był żart, totalna dziecinada. Nawet nie w moim stylu. W sumie, nawet nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Chyba dlatego, żeby coś się między wami stało. Żebyście wreszcie porozmawiali jak ludzie, bo Saszy przecież bardzo zależy. To był jednak tylko bardzo głupi żart. Między nami nic nie było, tylko wypiliśmy trochę za dużo.



Sasza sięgnął do kieszeni i zajrzał do swojego telefonu. To, co tam znalazł, mocno go zszokowało. Nie spodziewałby się takich zagrań po Tonym. To już bardziej pasowałyby mu do ich wspólnego byłego, Marcio. Santa Boy za to zupełnie zignorował mężczyznę. Zwrócił się wprost do Saszy:

– I czego byś teraz chciał? – spytał. – Skoro już tu jestem.

– Chcę jechać do domu – odpowiedział bez zastanowienia chłopak.

– Nadal będziesz chciał, jeśli powiem ci, że twoja matka śpi na fotelu w naszym salonie?

Sasza zrobił zdziwioną minę. Trochę się też jednak ucieszył, bo matka się przejmowała. Jednak teraz nie to było ważne.

– No to najpierw chcę jechać do hotelu, a potem do domu – skorygował.

– Czyli co? Uszczęśliwi cię, jeśli najpierw cię przelecę, a potem wrócimy do domu, zjemy pizzę, oglądniemy film, znowu cię przelecę, a potem pójdziemy spać? – prychnął muzyk.

– Tak... – odparł Sasza, patrząc mu prosto w oczy – bardzo. Jeśli tylko ty będziesz czuł to samo.

Santa Boy zaśmiał się pod nosem tym swoim zachrypniętym głosem. Patrzył teraz na Saszę znacznie jaśniejszymi oczami niż jeszcze przed momentem. Chociaż był skupiony na twarzy chłopaka, której dotykał dłonią, wyłapał kątem oka nagły ruch przy drzwiach.

– Stój – zatrzymał Tony’ego, który próbował ewakuować się z pomieszczenia. – Z tobą jeszcze nie skończyłem. A z tobą... – znów zwrócił się do Saszy – mam jeszcze do pogadania, ale to później. Teraz mam ochotę się zabawić.

Podszedł do Tony’ego i z przyklejonym do twarzy najbezcześniejszym uśmiechem na świecie spytał:

– Jak skapnąłeś się, że jesteś gejem?

Brunet, który aż trochę skurczył się, gdy stanął koło niego Santa Boy, przełknął ślinę. Widział go już kilka razy na koncertach, ale zawsze tylko z daleka. Już wtedy robił wrażenie, nie tylko swoją charyzmą, głosem, czy umiejętnościami gry na gitarze, ale też chociażby tym, że przewyższał wzrostem wszystkich innych mężczyzn

na scenie. Jednak to było zupełnie inne doświadczenie. Teraz jego gardło ścisnęło się znacznie mocniej, gdy dzieliło ich mniej niż długość ręki.

– Gdy miałem dwanaście lat, masturbowałem się do zdjęcia modela na opakowaniu bielizny, którą moja matka kupiła w markecie dla ojca – wyznał.

– Klasyka! – ucieszył się Santa, po czym zwrócił się do Saszy: – Rasowy pedał!

– Prawda – zgodził się Tony, pozwalając sobie na rozbawiony uśmiech. Już dawno się z tym pogodził.

– Hm, no dobra. A co by było, gdybym zaproponował ci autograf? – drążył muzyk, najwyraźniej do czegoś dążąc.

– Ucieszyłbym się? – odparł niepewnie Tony, nie wiedząc, skąd nagle to pytanie.

Sasza też nie wiedział, do czego to zmierzało. Był tylko pewien, że do niczego dobrego.

– Okej. A masz coś kolekcjonerskiego z High Death? Winył albo coś? – kontynuował Santa.

– Gitarę. Maraudera.

– No proszę! Więc ty ją kupiłeś.

Sasza jeszcze mocniej zmarszczył brwi. Nie wiedział o tym.

– Dobra. A gdybym podpisał ci się na niej?

– To ucieszyłbym się jeszcze bardziej.

Santa Boy zaparł się dłonią o drzwi tuż nad głową mężczyzny i pochylił się nad nim, by spojrzeć mu prosto w oczy.

– A gdybym zaproponował ci teraz seks? – spytał, przewiercając go spojrzeniem swoich czarnych, przymrużonych teraz w uśmiechu oczu. – Ucieszyłbyś się jeszcze, jeszcze bardziej?

– Ja...

Nagle w pomieszczeniu rozległ się odgłos dający, przynajmniej niektórym, poczucie satysfakcji. To Sasza uderzył muzyka w twarz otwartą dłonią. Santa Boy powoli skierował spojrzenie na swojego chłopaka, a potem niespodziewanie się uśmiechnął.

– Dobrze – powiedział. – Czyli jednak masz własną wolę.

– Nie wiem, co tym razem chodzi ci po tym czarcim czerepie, ale jeśli znowu mi to zrobisz, to zdechniesz w samotności. Przysięgam ci to! – syknął Sasza.

– Wierzę – odparł Santa Boy, poczym pocałował go w usta.

Dłoń znów położył na jego głowie, długie, zimne palce wsuwając przy tym w jego nastroszone włosy. Nim zsunął ją na kark Saszy, na którym chłopakowi stały już włoski, zahaczył jeszcze o jego zaczerwienione ucho. Wszystko to robił z pełną premedytacją. Wszystko, co Saszy sterczało jeszcze kilka chwil temu, opadło po wejściu tego całego Tony’ego, ale Santa Boy wiedział, że jego suczka ma ciśnienie. W jego głowie zaczął rodzić się niecny plan, jak to wykorzystać. Bo był trochę zły przez to, że zdecydował się tu przyjechać. I bo to chuchro stojące jak jakiś posąg obok pozwoliło sobie dotknąć jego własności. Bo przydałoby się przypomnieć Saszy, że ma prawo kochać tylko jednego kutasa. I bo był wkurwiony, a jak był wkurwiony, to najnormalniej w świecie chciało mu się dupczyć. Tak już miał.

– No ale popatrz na niego – zwrócił się do Saszy, który pod dotykiem jego palców napiął się jak struna. Santa widział, jak drgają mięśnie na jego szczupłej szyi.

– Nie jest ci go żal? Facet mnie uwielbia, ma mnie teraz koło siebie i nie dasz mu nawet uszczknąć okruszyny?

– Nie! – syknął Sasza, ale jego głos się załamał, gdy muzyk chwycił jego małżowinę uszną między dwa place, a potem ją wykręcił. Skurwiel znał wszystkie jego punkty.

Podniecenie wróciło, ale teraz uderzyło w niego jedną, gwałtowną falą. Nakręcało go także to, że Sancie Boy’owi najwyraźniej znowu się chciało. Wiedział jednak, że muzyk nie odpuści, jeśli coś sobie wymyślił. Spojrzał więc zażawionymi oczami na Tony’ego, który nie miał pojęcia, jak się zachować, więc po prostu stał w miejscu. Wyglądał na mocno speszonego, to na pewno. Jednak w jego wzroku Sasza dojrzał coś jeszcze.

– Dobra – zgodził się – ale go nie dotkniesz.

Santa Boy uniósł brwi. Nie spodziewał się takiej łatwej zgody. Trójkąty jakoś nieszczególnie go kręciły, cały ten Tony jeszcze mniej, ale uśmiechnął się zadowolony. Będzie zabawa.

– Okej. To prowadź do sypialni, Tony.

To było trudne do określenia uczucie, usłyszeć swoje imię wypowiedane chrapliwym głosem legendy Rocka. Tony zmusił się do przełknięcia śliny. Miał ściśnięte gardło. Przecież on by nie mógł... Nie bawił się w takie rzeczy. Zazwyczaj.

– Sasza... – rzucił błagalnie do swojego przyjaciela. Sam nie potrafił zmusić się do powiedzenia „nie”.

– Przecież go słyszałeś. Prowadź do tej sypialni.

Tony zrobił wielkie oczy. Chwilę jeszcze trwało, nim dotarło do niego, że to się naprawdę wydarzy. On nie miał nic do stracenia, do dłuższego czasu był sam, a skoro Sasza się zgodził, to chyba nic nie stało na przeszkodzie. Para miała najwyraźniej dużo do obgadania, ale to nie był na to czas.

– To chodźmy na piętro – odezwał się.

Tony przysiadł na skraju swojego łóżka, na szczęście dość szerokiego. Sasza po chwili do niego dołączył. Z natury był blady, więc łatwo się czerwienił. Róż z ucha, które miętosił Santa Boy, rozlał mu się po policzkach albo odwrotnie. W każdym razie, był już zaczerwieniony, a jego oczy błyszczały. Wpatrywał się nimi w Santę, który stał kilka kroków przed łóżkiem i właśnie zaczął rozpinać swoją czarną koszulę.

– Żałujesz, Sasza, że ty tego nie robisz? – spytał swojego kochanka.  
– Nie wiem, czy zauważyłeś, ale często zdarza ci się odrywać mi guziki od koszul, gdy się na mnie tak rzucasz jak wygłodniały pies.

– Pieprz się.

– Hm, mam zamiar – odparł Santa Boy.

Rozpiął wszystkie ze srebrnych guzików swojej koszuli i pozwolił jej zsunąć się ze swoich ramion na podłogę. Teraz na klatce piersiowej spoczywał mu tylko złoty łańcuch. Uśmiechnął się, gdy dostrzegł, jak Tony sięga dłonią do swojego penisa, jeszcze zapakowanego w bieliznę i spodnie. Aż przypomniały mu się czasy, gdy High Death było na szczycie, on wciągał szczyty kokainy, a tacy wpatrzeni w niego naiwniacy po prostu mu się podkładali, bo był pieprzoną gwiazdą. Dla niektórych, najwyraźniej, nadal był.

– Pomóż koledze, skoro mnie zabroniłeś – zwrócił się do Saszy popędzającym tonem. Chciał zobaczyć, jak chłopak będzie obrabiał fiuta. To jak doświadczenie czegoś z nowej perspektywy.

Sasza obejrzał się na Tony’ego. Ten siedział w bezruchu z bardzo niepewną miną. Kolor jednak pojawił się na jego policzkach. Oddychał też jakby ciężiej.

– I tobie to naprawdę nie będzie przeszkadzało? – zwrócił się Sasza do kochanka.

Santa Boy wzruszył ramionami i uśmiechnął się bezczelnie.

– Przecież nawet, jak mu będziesz ciągnął, to i tak będziesz myślał o tym, jak cię posuwam. No nie mów, że tak nie jest.

– A mówił ci ktoś kiedyś, że jesteś bezczelnym chamem? – parsknął Sasza, ale nie zaprzeczył. Obaj wiedzieli, że to prawda.

Wsunął się głębiej na łóżko, klęczał teraz na nim. Ściągnął górę swojej garderoby i rzucił ją za siebie, na podłogę. Oczom pozostałym obecnym w pokoju mężczyzną ukazała się jego chuda klatka piersiowa i płaski brzuch. Popatrzył prosto w oczy Tony’ego, szukając w nich jakiegoś sprzeciwu. Nie znalazł jednak nic poza niepewnością. Zbliżył się do niego na klęczkach i szepnął jeszcze „Przepraszam”, nim położył dłoń na zimnej, metalowej sprzączce paska od jego dżinsów.

Rozpiął mu pasek, guzik i zamek błyskawiczny. Obsunął lekko spodnie, a potem bieliznę. Na tyle, by móc wydobyć penisa. Obejmował go teraz swoimi palcami. Czuł, jak sztywnieje. Sapnął ciężko. Nie obrzydzał go, ale... Przekręcił głowę, by spojrzeć na Santę Boy’a, który w międzyczasie usadowił się na biurkowym krześle i przeglądał się wszystkiemu z głową podpartą na dłoni. Wyglądał jak jakiś pieprzony król, który miał wszystko pod kontrolą. I właściwie tak było.

Sasza zacisnął mocno oczy i trochę na ślepo sięgnął językiem do czubka penisa Tony’ego. Nie umiał określić, z czego to wynikało, ale nie pomyliłby go z penisem Santy Boy’a. Może chodziło o smak, może o fakturę, a może o temperaturę. Cóż, na pewno o wielkość. Zmusił się i objął go wargami, a potem wsunął głębiej. Czuł, jak przesuwa mu się po podniebieniu. Przypomniało mu się, jak robił to po raz pierwszy. Z Santą Boy’em. Wszystko robił pierwszy raz z Santą Boy’em. Przypomniało mu się, co wtedy czuł. Jak się denerwował, nie chciał go zawieść.

Nie chciał, żeby znalazł sobie na tamtą noc innego kochanka, jak miewał to wtedy w zwyczaju. Chciał, żeby został z nim, więc się starał. To było lata temu, ale pamiętał doskonale właśnie to uczucie, jak penis Santy Boy'a przesuwiał mu się po podniebieniu. To nie było obrzydliwe, ale jednak czuł w gardle dławienie. Oczy zaczęły go piec, a obraz zamazały zebrane w kącikach łzy. Pamiętał wtedy też dłoń Santy, która w pewnym momencie spoczęła na jego karku i zaczęła go po nim masować.

Właśnie takie miał myśli, zadowolając oralnie Tony'ego. Santa Boy miał rację, myślał o nim. Spał się, gdy poczuł, jak ugina się materac.

– To takie dziwne, gdy pomyśli się, że ludzie, których widzisz na co dzień, też się pieprzą, prawda? – usłyszał chrapliwy głos muzyka nad sobą. Pytanie musiało być skierowane do Tony'ego. – Kasjerka w sklepie, kierowca autobusu, twoi starzy. I twoi koledzy. I on.

Po jego plecach przeszedł dreszcz, gdy poczuł na nagiej skórze muśnięcie. Zaraz potem Santa Boy przejechał paznokciami wzdłuż jego wystającego kręgosłupa, a Sasza poczuł, jakby go na moment sparaliżowało. Jakby iskra elektryczna przeleciała jego rdzeniem kręgowym. Dobrze, że opanował się na tyle, by nie zamknąć ust.

– Zdradzę ci tajemnicę – kontynuował Santa, a Sasza poczuł, jak się nad nim przechyla. – To greczny chłopiec, chociaż zrobił sobie tego kolorowego czuba i przebił sobie twarz paroma kolczykami. Tak w środku, to dobry chłopiec. W każdym razie, znacznie lepszy ode mnie. Można by powiedzieć „normalny”, jeśli nie zna się jego tajemnic. Więc teraz połóż mu dłoń na głowie... No dalej.

Po chwili Sasza poczuł, jak rzeczywiście Tony położył mu dłoń na głowie, mierzwiąc mu przy tym włosy.

– Dobrze – pochwalił go Santa Boy i sięgnął do wypełnionego policzka Saszy, by przejechać zgiętym placem po jego skórze. Zaśmiał się gardłowo. Brzmiało to nieprzyjemnie i złowieszczo, niemal jak krakanie wrony. – A teraz chwyć go za irokeza i wciśnij mu twarz w swojej jajka, bo inaczej nie dasz mu satysfakcji.

Tony patrzył się na Santę Boy'a. Właściwie robił to przez cały czas, odkąd znaleźli się we trójkę w sypialni. Czuł usta Saszy na swoim penisie, teraz jego spoczone włosy między swoimi palcami, ale nie spuszczał wzroku z gwiazdora Rocka. Ten zaś

był bezczelną świnia, tak jak opisywał go Sasza. I może właśnie przez to było tak strasznie magnetyzujące. Im bliżej twarz muzyka znajdowała się jego twarzy, tym mimowolnie mocniej zaciskały się palce Tony'ego na irokezie Saszy. Santa Boy w końcu nachylił się do niego tak bardzo, że czuł jego oddech na swoim policzku. Jego penis zrobił się już zupełnie sztywny.

Sasza zacharczał i próbował unieść głowę, ale dłoń Tony'ego, która teraz już boleśnie ciągnęła go za włosy, mu na to nie pozwoliła. Mężczyzna jednak unieruchomił go nieświadomie, całą swoją uwagę skupiając na muzyku. Na każdym z jego licznych tatuaży, na jego palcach gitarzysty i na drobnych zmarszczkach wokół czarnych oczu, które pojawiały się, gdy uśmiechał się szeroko, czyli tak, jak teraz. Bezczelnie i hipnotyzująco.

Tak, Tony był zahipnotyzowany. Jednak dla Santy nie był godzien być nawet przystawką. Chociaż oprócz rozbawienia mina wpatzonego w niego Tony'ego jak w święty obrazek dawała mu także satysfakcję, musiał przyznać.

– Bo mi go udusisz! – fuknął muzyk. – I co ja pocznę? Mam tylko jego.

Tony wreszcie się opamiętał i puścił Saszę, który odkaslnął i z zaciętą miną spojrzał na Santę Boy'a. Miał załzawione oczy i zaczerwienione wargi, z kącików których wypływała ślina. W jego spojrzeniu mieszało się tysiąc emocji. Na pewno było tam wiele złości i frustracji, ale nie to teraz interesowało Santę. Rockman sięgnął do jego podbródka i przyciągnął go gwałtownie za niego, samemu się nachylając, aby złączyć ich wargi. Wepchnął mu przy tym język do ust, całkowicie przejmując kontrolę nad pocałunkiem. Przez cały czas trzymał przy tym Saszę za podbródek, uniemożliwiając mu odsunięcie się. Zamruczał jedynie gardłowo w jego usta w wyrazie śmiechu, gdy dojrzał kątem oka, jak Tony sięga dłonią do swojego penisa, by po chwili dojść, patrząc na nich.

Zabawa dopiero się zaczynała.

## Rozdział 5

– Nie jest ci zimno? – spytał Sasza, zatrzymując się w progu warsztatu Tony’ego z kubkiem kawy w ręku. – Masz, bo będziesz zrzędził, jak nie wypijesz co sześć godzin.

Wyciągnął rękę z kubkiem w kierunku Santy Boy’a, który jedynie w spodniach i butach siedział na małym schodku i tępo gapił się na gołębie maszerujące po chodniku. Pustka w ich oczach była bardzo podobna do tej w jego czarnych ślepiach. Nie zaszczyił Saszy nawet spojrzeniem, ani nie wziął do niego kubka. Całego go po prostu zignorował.

– Nie to nie – mruknął Sasza i sam się napił kwaskowatej w smaku sypanej kawy. W domu mieli ekspres, tutaj nie mógł liczyć na nic lepszego. Poranek był chłodny, a on miał na sobie tylko podkoszulek. Rozmasował nagą skórę ramienia. – No powiedz coś. Błagam.

Czuł to jeszcze we wszystkich mięśniach. Na szczęście Tony zmył się do klienta, więc przynajmniej świat oszczędził mu jednej z krępujących rozmów. Druga właśnie go czekała, tylko wyglądało na to, że nikt nie miał za bardzo ochoty jej zaczynać.

– Jedź do matki – rzucił niespodziewanie Santa Boy jakby w eter. Nawet przy tym na niego nie spojrzał, tylko gapił się na te głupie gołębie.

– Przecież ona jest podobno u nas – zdziwił się Sasza. – A ty co niby będziesz wtedy robił?

– Pójdę do baru się najebać i będę czekał, aż spakujesz wszystkie swoje rzeczy i się wyprowadzisz.

Sasza zrobił wielkie oczy. Sam pomyślał, że jego już naturalnie wyłupiaste gały, zaraz wypadną mu z oczodołów.

– O czym ty mówisz?! Zrywasz ze mną?! – Czuł, że zaraz zacznie się hiperwentylować. To już przekraczało wszystkie granice. – Przez Tony’ego? Sam przecież tego chciałeś!

– Właśnie przez to. – Santa Boy wreszcie na niego spojrzał. Jego wzrok mógłby z powrotem zamrozić topniejące przez ocieplenie klimatu lodowce. – Powinieneś



uderzyć mnie w twarz, ale tak naprawdę, a nie tak jak wcześniej. Może nawet na nią napluć, jeśli masz wystarczająco jaj, a potem mnie porzucić. To właśnie musisz zrobić, jeśli chcesz odzyskać godność.

Sasza sapnął sfrustrowany.

– Jezu, o co ci chodzi? – jęknął umęczonym głosem. – I to nie jest pierwszy raz. Od dłuższego czasu wymyślasz te pierdoły.

– O co mnie chodzi?! – wybuchnął muzyk, aż się przy tym podnosząc. – Boże, głupi dzieciaku, właśnie przeleciałem cię na spółę z innym facetem! Posuwałem cię, gdy ty dławiliś się jego fiutem! Czy ty nie masz choć trochę godności?

– Właśnie teraz odebrałeś mi jej resztkę – syknął Sasza i spojrzał na swoją kawę, której w jednym momencie zupełnie mu się odechciało.

Nagle wydała mu się obrzydliwa, jak on i jak ten mężczyzna stojący obok. Wylał zawartość kubka na trawnik i wszedł do domu. Poszedł prosto do małej kuchni, ciasnego kącika przyciśniętego do warsztatu Tony’ego. Podeszedł do zlewu, żeby umyć ten głupi kubek z namalowaną szkocką kratką, ale nawet nie miał na to siły. Zacisnął palce na zimnym metalu zlewu i tak stał, czując, jak jego oczy nabiegają łzami. Miał po prostu dość, tylko sam nie wiedział czego.

– Sam widzisz, że tak będzie lepiej. – Usłyszał po chwili.

Nie popatrzył w stronę Santy, który stanął w progu pomieszczenia, już ubrany w koszulę i z kluczykami od samochodu w dłoni. Nie mógł mu się przecież takim pokazać. Takim żalonym.

– Przynajmniej mi powiedz, o co ci tak naprawdę chodzi – odezwał się w końcu. – Bo ja naprawdę starałem się zrozumieć, ale mi się nie udało. Nie rozumiem, co się zepsuło. Gdybym wiedział, to bym to po prostu naprawił...

– No właśnie – przerwał mu muzyk. – Naprawiłbyś, zmieniłbyś. Zrobiłbyś tak, żeby pasowało mi.

– Mówisz, że nie mam własnej woli? I to cię tak uwiera? Przez to masz mnie już dość?

– Nie ciebie, a mnie – odparł Santa Boy. – Ja jestem złym człowiekiem i chyba po prostu taki się urodziłem. Zawsze wykorzystywałem ludzi, żeby dogodzić samemu sobie. Zawsze. I zawsze miałem to pierdolone ego, przez które czułem się lepszy

od tej obrzydliwej zgrai otaczających mnie ćpunów, chociaż byłem po prostu jednym z nich. I czułem się lepszy od tych wszystkich szmat, które w życiu przeleciałem, chociaż też byłem po prostu szmatą. Ale w końcu zaczęło to do mnie docierać i czułem się przez to jeszcze gorzej, więc przestałem ćpać. Ale wtedy zostałem sam, nie było już masy wgapionych we mnie jak w jakiegoś bożka dzieciaków, tak mi się chętnie nadstawiających. A ja musiałem karmić czymś moje ego, które nigdy nie przestawało być głodne i wtedy znalazłem ciebie. Nie zabrałem cię tego dnia do siebie, to zaćpane gównno, którym byłeś, dlatego że zrobiło mi się ciebie żal albo bo ci współczułem. Przez cały ten czas myślałem o sobie. Hodowałem cię tak, jak chciałem. Podobało mi się to, jak na mnie patrzyłeś. Jak na jakiegoś boga, właśnie. I to, że podążałeś za mną krok w krok jak pies, mimo tego wszystkiego, co ci zrobiłem. I to, że byłeś tak strasznie zazdrosny, że tak cię boleli wszyscy ci idioci, których zaliczyłem, a mimo to nic nie powiedziałaś, bo bałeś się, że mnie rozłóścisz i cię porzucę. A mnie wcale na nich nie zależało, nie potrzebowałem ich do zaspokojenia swoich potrzeb, ty zupełnie mi wystarczałaś. Robiłem to tylko po to, żeby zobaczyć to na twojej twarzy, ten ból, bo to znaczyło, że naprawdę ci zależy.

Santa Boy wyglądał tak inaczej bez tego kpiarskiego uśmiešku, który wydawał się wręcz wykuty na jego pociągłej twarzy. Sasza skurczył się w sobie, gdy zobaczył tego innego Santę. Jakby stał przed nim ktoś zupełnie obcy.

– Po co to teraz wyciągasz? To już minęło... – mruknął zniechęcony.

– No właśnie widzę.

– Ustaliliśmy już, że jesteś skurwysynem, ale to nie nowina. Więc o co właściwie chodzi?

– O to, że pierwszy raz w życiu mi to przeszkadza. Że nie mogę z tym dłużej żyć... Kocham cię – przyznał muzyk, a Sasza spojrzał na niego zaskoczony. – I sądzę, a właściwie jestem pewien, że jesteś moją pierwszą, a zarazem ostatnią miłością. I pierwszy raz w życiu uwiera mnie to, co komuś zrobiłem. Jak go skrzywdziłem. Do tego stopnia, że nie mogę na tę osobę patrzeć, bo znów zaczynam brzydzić się sobą.

– I co?! Więc chodzi o ciebie?

– Zawsze chodzi o mnie. Wiesz, jestem raczej samolubny.

I poszedł. Nawet się nie dotknęli. Ostatni raz był podczas tego ohydneho aktu. „I to wszystko?“, pomyślał Sasza. Przez moment chciał za nim biec, dopaść go przy samochodzie, paść na kolana i błagać go, aby go nie zostawiał. Nie miałby problemu, żeby się upokorzyć, jeśli tylko zostałby z nim, ale przecież nie mógł tego zrobić, prawda? Więc stał jak głupi przy zlewie z tym kubkiem w dłoni z namalowaną czerwoną, szkocką kratą.

Pojechał do domu, bo nie wiedział, co innego mógłby zrobić. „Dom” – od lat tak właśnie myślał o ciasnym mieszkanku Santy Boy’a. Kiedy myśli się „dom”, automatycznie pojawia się określenie „wspólne” i „nasze”. Nie było czegoś takiego. Wszystko należało do Santy Boy’a. Sasza wrócił myślami do czasów, gdy nic nie było między nimi klarowne. „Jakby teraz było!” – parsknął w myślach. Do tych czasów, z samych początków, gdy spał na kanapie w salonie, a położyć się na materacu łożka w sypialni miał jedynie szansę, gdy muzykowi zachciało się go zaliczyć. Gdy Sasza już zupełnie wytrzeźwiał, zaczął mieć nowe, normalne dla zwyczajnych ludzi, priorytety w życiu. I zaczął się wstydzić siebie.

Pewnego dnia, gdy się obudził, zobaczył na półce obok wersalki kartę kredytową. Nigdy o nią nie zapytał, Santa też nic na ten temat nigdy nie powiedział. Sasza wykorzystał ją, żeby zadbać o dom i ich posiłki. Kupił sobie nowe ubrania i poszedł do fryzjera. Nabył też nowy telefon, ale taki z niższej półki. Czuł się źle, wykorzystując pieniądze Santy Boy’a, a ten nigdy nic nie mówił na ten temat. Gdy Sasza zaczął łapać się dorywczych prac, na kasach i tym podobne, też nic nie powiedział. W ogóle ze sobą nie rozmawiali, po prostu trwali w tym dziwnym stanie zawieszenia, a łączył ich seks i coś jeszcze, czego żaden z nich nie potrafił zdefiniować.

Sasza podążał za nim jak ten wierny pies, krok za krokiem, w zupełnej ciszy. Nie warczał, ani nie skuczał, gdy jego pan zbaczał ze ścieżki, by pobawić się z inną suką. Czuł, że nie ma do tego prawa i że zostanie porzucony, jeśli to zrobi, ale mimo to za każdym razem jego obroża wydawała się jeszcze ciaśniejsza i bardziej go uwierała. Aż w końcu pętla stała się tak dusząca, że zerwał się ze smyczy. Uciekł i wrócił do dawnego domu.

Zrobił coś ze swoim życiem. Stał się silny i samodzielny, ale tak naprawdę cały czas czekał. Wieczorami gapił się na księżyc tęsknym wzrokiem i chciało mu się wyć. Wyczekiwał, aż jego pan się pojawi.

– Boże, naprawdę jestem jego suką.

W mieszkaniu Santy Boy'a zastał tylko swoją matkę, która wydawała się już zadomowić, bo właśnie była w trakcie gotowania curry. Pocahontas zdążyła już się zmyć. Santa za to w ogóle się tu nie pojawił. Może naprawdę siedział w jakimś barze i chlał.

– A co mnie to, kurwa, obchodzi? – sapnął Sasza sfrustrowany.

Stanął przed decyzją, co właściwie powinien teraz zrobić. Zacząć się pakować i po prostu trzasnąć za sobą drzwiami, najlepiej na tyle mocno, aby odpadły od futryny. Tylko dokąd miał iść. Do matki? Nie mógł znowu na niej żerować, to znowu nie mogło się powtórzyć, jaj jakieś błędne koło. Nie chciał znowu być żaloszny.

– Może najpierw coś zjedz, a potem dalej będziesz tak marszczył te brwi?  
– zaproponowała Susanne, pojawiając się w salonie z dwoma głębokimi talerzami napelnionymi po brzegi jeszcze parującym curry. – Strasznie bładz jesteś.

Usiadła na fotelu, z którego Santa Boy zazwyczaj oglądał telewizję, podgryzając przy tym orzeszki ziemne. Jedli w zupełnej ciszy. Susanne musiała wiedzieć, ale na razie nic nie mówiła. Sasza był jej wdzięczny. Dopiero gdy skończyli posiłek i jej syn opłukiwał gardło z ostrych przypraw szklanką wody mineralnej, zapytała:

– No co ten chuj znowu zrobił?

Sasza wzruszył ramionami.

– Kazał mi się spakować i wypierdalać.

Gdyby ostatnie słowo padło w innym kontekście, Susanne kazałaby synowi nie przeklinać. Jednak teraz to było najmniej ważne.

– Nie ma do tego prawa! – wybuchła.

– Raczej ma, to jego mieszkanie.

– Nie o to chodzi! – obruszyła się Susanne. – Ale dlaczego? Ty wiesz, co on mi powiedział, gdy tu przyjechałam? Byłam zaskoczona, że to diabelne monstrum, ma aż

taką fiksację na twoim punkcie. Aż zaczynam myśleć, czy to ty czegoś nie zmajstrowałeś?

– Mamo – sapnął Sasza. – W sumie, nie wiem. Nic już nie wiem. Dużo mówił, pierwszy raz od dawna, ale nic z tego nie zrozumiałem. Tylko to, że nie może na mnie dłużej patrzeć. Na to żałosne coś, co sam stworzył.

W sumie, to nie było takie zaskakujące, pomyślała Susanne. Niekiedy łatwiej jest powiedzieć pewne rzeczy, otworzyć się przed kimś, kto jest nam obcy i na kim nam nie zależy. Szczególnie tak zamkniętym osobom jak Santa Boy, którzy łączą okazywanie uczuć ze słabością. Susanne pomyślała, że jemu głupiemu synowi i tej jego czarnej zarazie przydałby się porządny terapeuta, ale na to nie było szans. Żaden z nich by się na to nie zgodził.

– Powiedział mi... – zaczęła wolno – coś takiego, że ja też zaczęłam się nad tym zastanawiać. Wróciłbyś do domu, prawda? Jeśli on by cię wtedy nie zabrał, wróciłbyś do domu?

Sasza zmarszczył brwi, widząc przejęcia na twarzy matki. Wiedział, że ona bardzo żałowała ich przeszłości. On już dawno jej wybaczył, ale ona sobie chyba jeszcze nie do końca.

– Chyba tak – przyznał. – Kiedy już nie ma się gdzie podziać, to wraca się do domu, chociaż uciekłem właśnie z niego.

– Nie musisz być taki delikatny – parsknęła Susanne. – Uciekłeś nie z domu, a ode mnie. Tego czegoś, co nawet nie można było nazwać matką. Ale to mnie otrzeźwiło, zmieniłam się i czekałam na ciebie. I zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, gdybyś wrócił. Wszystko, żeby ci pomóc i żebyś został. I o tym on mówił. Nie może poradzić sobie z myślą, że może odebrał ci jakieś szanse.

– Szanse? – zdziwił się jej syn. Marszczył mocno brwi, słuchając tego wszystkiego – Jak znowu szanse?

– Wiesz, Britney Spears śpiewała kiedyś, że na świecie istnieją dwa typy ludzi: ci, którzy robią show i ci, którzy tylko obserwują\*. Santa nie byłby zadowolony do używania cytatu z piosenki przyblakłej gwiazdki pop do opisywania jego znakomitej osobistości, ale on to ten pierwszy typ. To zdobywca, człowiek, który musi coś osiągnąć, aby czuć się spełnionym. Trudno jest mu zrozumieć, że niektórzy tego

nie potrzebują. I nie może sobie poradzić z myślą, że przez niego nigdy nie rozwiniiesz skrzydeł, bo tylko podążasz za nim jak cień. I wiesz co, on może mieć rację. Nie czujesz, że coś tracisz?

Sasza skomentował to jedynie uśmiechem. Co za bzdury, pomyślał. Wyprostował się na kanapie i założył nogę na nogę. Wszystko stało się klarowne. Wiedział już, co musi zrobić.

– Chodź, mamó – rzucił lekko, podnosząc się i zbierając ze stolika brudne naczynia. – Umyję gary i wybierzemy się na małe zakupy. Muszę tylko jeszcze zadzwonić do Trish, żeby tu wróciła.

– Zakupy? – zdziwiła się Susanne. – Nic nie rozumiem.

– Ja za to rozumiem już wszystko – odparł Sasza.

\*Chodzi o pierwszy wers piosenki „Circus”

## Rozdział 6

– Może te z różowymi ozdóbkami? – zaproponowała Trish.

Całą trójką nachylili się jeszcze mocniej nad przeszkloną gablotą.

– Żeby mi je w dupę wsadził? – parsknął Sasza, w ogóle nie zważając na stojącą po drugiej stronie lady młodą sprzedawczynię.

Susanne tylko pokręciła z dezaprobatą głową. Trish za to na końcu języka miała odpowiedź zawierającą stwierdzenie, że to nie byłaby pierwsza rzecz i pierwszy raz, ale jednak się w ten niewyparzony język ugryzła, właśnie ze względu na obecność matki Saszy.

– Dobra, te – zdecydował Sasza i wskazał palcem sprzedawczyni, który model wybrał. Był prosty, bez żadnych ozdób.

Po kilku minut bogatszy o małe, granatowe pudełeczko, a biedniejszy o prawie tysiąc dolarów wyszedł ze sklepu wraz ze swoimi towarzyszkami i współpracownikami w planie.

– To co teraz? – zapytała Susanne.

– Ja akurat zgłódniałem, więc może lunch w jakiejś restauracji? – zaproponował Sasza.

– Nie o to mi w ogóle chodziło, chociaż popieram pomysł. Chodziło mi o te dalsze plany.

– Cóż... – Sasza wzruszył szczupłymi ramionami. – Każdy idzie w swoją stronę i czekamy na dzień X.

– Będzie zabawa – podchwyciła Trish. – Ale co zamierzasz do tej pory robić? Mój stary wykopał cię z domu w końcu.

Rozmawiali, zmierzając do położonej na drugim końcu ulicy restauracji z kuchnią meksykańską. Ogródek z wiklinowymi fotelami i białymi parasolami chroniącymi od słońca wyglądał zachęcająco.

– Cóż... – Sasza jeszcze raz wzruszył ramionami, jakby rzeczywiście mu nie zależało. – Zamierzam wykorzystać moją wolność.

– Jakaś wycieczka? – zainteresowała się Trish. – Może Europa? Ja zawsze chciałam zobaczyć na żywo „Pocałunek” Klimta. Chyba jest w Wiedniu.

Sasza uśmiechnął się w nietypowy jak na niego sposób. Można by rzec, że wręcz tajemniczo.

– Zawiodę cię – odparł. – Przekroczę jedynie granicę stanu.

Usiedli przy jednym z drewnianych stolików, a po chwili pojawił się przy nich młody kelner z trzema kartami z nadrukowanym menu oraz szklankami z wodą, które przyozdobione były kawałkami limonek. Sasza ukradkiem popatrzył za nim, czy będąc bardziej precyzyjnym, na jego opięty ciasnymi džinsami tyłek, gdy ten wracał do budynku, by dać im kilka minut na zastanowienie, co wybrać. Dostrzegł jego uśmiech sprzed chwili. Pewnie gdyby teraz przeprosił swoje towarzyszki i pod pozorem potrzeby udania się do toalety udałby się jego śladem, razem wylądowałyby w ciasnej kabinie. Jeśli człowiek przestawał się przejmować i wałkować ciągle to samego w głowie, wszystko stawało się prostsze, jakby nagle oczy widziały więcej kolorów. Więcej możliwości. A on już się przestał przejmować. Nie zamierzał jednak ruszyć się z miejsca.

– Dla mnie chyba sałatka z kurczakiem – zdecydował jako pierwszy. Bez przystawki.

Zjedli, pogadali, a potem się rozeszli. Dowiedział się, że Trish chyba pójdzie na te do bólu nudne studia stomatologiczne, ale najpierw wybierze się na wycieczkę do Europy. Że matka prawdopodobnie zostanie vice dyrektorką miejskiego ośrodka społecznego, ale obawia się, czy sobie poradzi. Miło było od czasu do czasu porozmawiać z normalnymi ludźmi o ich normalnych problemach.

Nie pakował się, nie wrócił nawet do ciasnego mieszkania Santy Boy'a. Bilet kupił w kasie na dworcu kwadrans przed odjazdem pociągu. Wszystko, co potrzebne do życia, jak chociażby ubrania, postanowił kupić na miejscu. Smutno mu było zostawiać Szczęściarza, ale nie bał się o niego. Santa Boy kreował się na gorszego, niż był w rzeczywistości, tylko żeby to odkryć, trzeba było przekopać się przez wiele warstw, a niewielu na to pozwolił. Szczęściarzowi na pewno nic się nie stanie, tego Sasza był pewien. Santa Boy pomarudzi coś pod nosem, ale w końcu każdego ranka zwlecze się z wyra, trochę przy tym klnąc, aby zabrać go na spacer, a potem wsypać żarcie do miski.



Gdy rozsiadł się już wygodnie w fotelu w swoim przedziale, przestał przeszkadzać mu płacz dziecka, a miarowy stukot zaczął go wręcz relaksować, jeszcze raz otworzył maila z propozycją, której jeszcze kilka dni temu miał nie przyjąć. Teraz zaś bębnił palcami w podłokietnik, wymyślając nowe melodie.

„Dużo w tym elektroniki” pomyślał, gdy poznał już metody nagrywania zespołu, który poprosił go o współpracę przy nagrywaniu studyjnej płyty. To, że wokalista używał efektu Auto-Tune niemalże bezprzerwy, wywołało u niego coś na rodzaj szoku. Przed oczami ukazała mu się diabelna morda Santy Boy’a i to jego kpiące spojrzenie. Zmiażdżyłby tych dzieciaków, gdyby tu był. Rock był w końcu „prawdziwą muzyką”. Sasza po cichu się z nim zgadzał, ale czasy się zmieniały, a oni chyba trochę nie nadążali. Lider zespołu, a przy tym pierwszy gitarzysta nauczył się gry dzięki „Guitar Hero”.

Wszystkim jarali się jak przedszkolaki. Co jakieś półgodziny sprawdzali liczbę wyświetleń pod ich nowym clipem nakręconym przez lokalnego kamerzystę od wesel. Na teledysku stali gdzieś na łące, potem na rozległym parkingu i po prostu grali. Filmik kręcony z jednej kamery nie miał żadnego związku z utworem, ale to nie miało dla nich znaczenia. Ważne, że liczba wyświetleń przekroczył dwadzieścia tysięcy, a komentarzy było ponad pięćdziesiąt i to w większości pozytywnych.

Miło się na nich patrzyło. Miło było też wśród nich przebywać. Wreszcie ktoś go słuchał, traktował z szacunkiem, a może nawet z czymś na kształt respektu. Tu nie był jedynie „odtwórcą”, jak to zwykł nazywać go Santa Boy.

– A gdzie w ogóle jest teraz wasz basista? – spytał, gdy w knajpie obok studia po całym dniu nagrywania jedli gorące hamburgery i popijali je zimnym piwem. – Bo mieliście jakiegoś, co nie?

– No. Zrobił sobie przerwę – rzucił na odczepnego wokalista i wrócił do swojej podwójnej porcji frytek.

– Odwyk? – rzucił domyślnie Sasza. To było powszechne w tym środowisku. Wciąż powtarzał się ten sam schemat – dragi, dziwki, odwyk, HIV i zaćpanie na śmierć.

Odpowiedział mu śmiech.

– Zrobił sobie przerwę, bo mu się bliźniaki urodziły. Wiesz, poszedł na tacierzyński. Nawet palenie rzucił.

– Tacierzyński? – powtórzył Sasza, zastanawiając się, czy takie słowo w ogóle istnieje.

Zaraz w głowie pojawił mu się obraz Santy Boy'a, z jakiegoś powodu bez górnej części garderoby, a jedynie w czarnych dżinsach. Na rękach trzymał różowe niemowlę z różowym smoczkiem w ustach i owinięte różowym kocykiem z miękkiego pluszu z kotkami. Wszystko to na tle wydziaranej klatki piersiowej Santy Boy'a. Zupełnie surrealistyczne. Aż musiał przerwać jedzenie, żeby zdusić śmiech.

– A w ogóle, to Ann Ann zaprosiła nas na stream na YouTube jutro – zmienił temat Mike, wokalista. – Niby ma być o nowej płycie, ale raczej chodzi o Saszę. Przemagluje cię dogłębnie. Jakby jakieś miała, to wytatuowałaby sobie portret Santy Boy'a na cyckach.

– Ann Ann? – powtórzył skołowany Sasza. – Kto to jest?

– Nie znasz? Laska jest całkiem popularna. Ma kanał o muzyce rockowej. I robi też o jakiś gotyckich makijażach. W każdym razie, średnio ma ze sto tysięcy wyświetleń. Ogłosiła już na Instagramie. To niezła reklama jest.

Sasza pokiwał głową, jakby się zgadzał, ale tak naprawdę mało z tego pojmował. Od perkusisty zespołu był nawet o kilka lat młodszy, ale czuł się, jakby żył z zupełnie innym światem.

Następnego dnia znaleźli się więc w studiu, które tak naprawdę było jednym z pokoi w mieszkaniu owej Ann Ann, która tak naprawdę miała na imię Lucy. Za kamerzystę robił jej chłopak, a za tło za kanapą, na której mieli rozmawiać, czarna zasłona z doczepionymi plakatami zespołów, wejściówkami na różne festiwale i koncerty oraz naszywkami.

– Hej, tu wasza ukochana Ann Ann! Wiem, że czekaliście niecierpliwie, odkąd wam zapowiedziałam tydzień temu, kto u mnie dzisiaj będzie. I o to są! W nowym składzie...

Mike zaczął produkować się na temat nowej płyty zespołu, a Sasza po chwili słuchania po prostu się wyłączył. Jego wzrok padł na wiszący na przeciwległej ścianie leciwy plakat zespołu High Death. Na pierwszym planie był oczywiście Santa Boy.

Patrzył się wprost na ciebie, a w jego spojrzeniu była ta typowa dla niego pogarda dla wszystkiego. Sasza sapnął zrezygnowany. Wiedział, że to chore, ale nic nie mógł na to poradzić. Strasznie go kręcił. Patrzył na to czarnobiałe zdjęcie i czuł, jak w dole brzucha wszystkie flaki skręcają mu się do środka, a płuca się kurczą. Mike siedzący obok niego się produkował, właśnie mówił o tym, że sprzedał samochód, żeby móc wynająć studio, a on myślał o seksie.

Naprawdę był chory.

– No, no, no! Bo ja to wszystko widzę, Sasza! – Wysoki, podekscytowany głos dziewczyny przywrócił go do rzeczywistości. Sasza spojrział na nią zdezorientowany.  
– To teraz pora na parę naprawdę palących pytań.

Sasza w momencie przypomniał sobie, co mówił Mike wczoraj w restauracji. Wydawało mu się to strasznie płytkie, ale musiał przyznać przed sobą, żeby gdyby sam był widzem, to właśnie najbardziej wyczekiwałby tego. Płonące oczy Ann Ann i jej zaczerwienione policzki jasno dawały znać, czego mają dotyczyć owe „palące pytania”. Cóż, jego związek z Santą nie był tajemnicą w środowisku, ale jego szczegóły już tak. Lider High Death w końcu nie był osobą, która chciałaby się czymś takim dzielić i chyba nie było nikogo na tyle odważnego lub głupiego, aby go o to zapytać.

Sasza uśmiechnął się szeroko i wygodniej rozsiadł na kanapie. Dziad i tak pewnie nigdy tego nie zobaczy, ale mógł mu trochę dojechać. Ot tak, dla własnej satysfakcji.

– No dawaj – zachęcił.

– No, to może zaczniemy od tego, dlaczego w ogóle dołączyłeś do naszych chłopaków. Nie było u was w High Death żadnych spin z tego powodu? Santa Boy ci tak po prostu pozwolił?

– A dlaczego miałbym potrzebować jego pozwolenia do zrobienia czegokolwiek? On nie jest moim ojcem. Mój kontrakt z High Death nie jest na wyłączność. Póki robię wszystko, co muszę, jeżdżę na koncerty i tak dalej, nie mogą się doczepić.

Ann Ann nie wydawała się zadowolona z takiej odpowiedzi. Wyraźnie chciała, żeby ta rozmowa obrała inny kierunek. Zakręcił pukiel swojej wściekle różowej peruki na placu.

– No... – zaczęła, przyjmując konspiracyjny ton i uśmiechając się do Saszy, a potem kamery. – No ale z Santą Boy'em łączy was coś więcej niż tylko zespół, prawda? Na ukrywanie tego już raczej za późno.

– No łączy nas jedno mieszkanie, jeden samochód, jeden pies i jedno łóżko. A niekiedy to my jesteśmy tak połączeni, że trudno powiedzieć, gdzie się kończy pierwszy, a zaczyna drugi. Chociaż ostatnio rzadziej, niżbym chciał.

Mike, który popijał Colę ze szklanki wypełnionej kostkami lodu, popisowo się zakrztusił i spojrzał szeroko otwartymi oczami na Saszę.

– A to czemu? – spytała Ann Ann, już w duchu ciesząc się z tego, jak jej wzrośnie oglądalność.

– A bo ja wiem? – rzucił Sasza, zupełnie ignorując błagalną minę siedzącego Mike'a i wzruszając znów ramionami. – Może on już za stary jest?

– No gdybym ja tak mojemu misiowi powiedziała! Męska duma zniszczona. Nie boisz się, Sasza? Ja bym to się bała. Temu twojemu to jednak prawdziwy diabeł z oczu patrzy.

– Ale on mi nigdy nic nie zrobi. Nie mi.

– Dlaczego?

– Bo mnie kocha. Bardziej niż jest zdolny to nagłos powiedzieć i chyba bardziej, niż jest zdolny przed sobą przyznać.

Tak bardzo, że mógłby nawet siebie dla mojego, wyimaginowanego dobra poświęcić, dodał już w myślach. Chce dobrze, ale mu nie wychodzi, bo jest jak słoń w składzie porcelany. Zupełnie niedostosowany.

Ann Ann nachyliła się nad stolikiem, aby poklikać trochę na laptopie. Gdyby to było kilkanaście lat temu, czat by się chyba zawiesił. Pytania pojawiały się jeden za drugim. Treść dużej części była mocno nieprzyzwoita. Ann Ann już zacierała dłonie, ale Sasza stwierdził, że starczy na ten temat i więcej nic nie powie. Mike podziękował mu w duchu i ku niezadowoleniu prowadzącej oraz widzów rozmowa wróciła na poprzednie tory.

Sasza czuł lekki niedosyt. Chciałby zobaczyć wkurwienie Santy Boy'a i to jak się pieni, gdyby ten ujrzał wywiad. Na to jednak się nie zapowiadało, to był w końcu tylko maleńki, amatorski kanał. Santa nie interesował się takimi pierdołami. Szkoda, bo Sasza od dłuższego czasu miał ochotę kopnąć go w jaja, dosłownie lub metaforycznie.

Posiedział w studiu z chłopakami jeszcze dwa tygodnie, a potem wrócił do Austin. Dostał maila od menadżera zespołu, ale i bez niego dobrze pamiętał, że High Death miało dać koncert w klubie na jego dwudziestolecie otwarcia. Miał tę datę zaznaczoną na czerwono w kalendarzu.

To był ten dzień. Wóz albo przewóz.

Pomylił się. Bardzo się pomylił. Santa Boy nie był aż tak nieobeznany ze współczesnymi mediami, jak sądził albo, co bardziej prawdopodobne, ktoś mu ten filmik pokazał. W każdym razie, widział go. Tego Sasza był stuprocentowo pewien, gdy tylko zobaczył jego twarz po wejściu do czegoś, co można było określić mianem garderoby. Aż go trochę cofnęło w wejściu. Był wściekły. Bardzo. W sumie, dobrze było zobaczyć na jego diabelskiej gębie jakieś emocji, ale też trochę strach.

Przewidując dalszy rozwój wydarzeń, reszta zespołu przezornie wycofała się z placu boju, tłumacząc to wyjściem na papierosa. Równie dobrze mogli zapalić tutaj. W pomieszczeniu nie było czujników dymu.

Sasza wszedł do środka i rzucił torbę na wolne krzesło. Wyciągnął swoje rzeczy i zaczął się przebierać. Wszystko to robił niby zupełnie na luzie, ale tak naprawdę wyczekiwał na to, aż Santa coś powie. Albo na temat tego idiotycznego filmiku albo tego, co się wydarzyło między nimi. Cokolwiek. Santa Boy zaś obrzucił go jedynie krótkim spojrzeniem, takim które zaciskało gardło, ale zupełnie nic nie nadeszło później. Wrócił do wymiany strun w gitarze, odwracając się do Saszy plecami, jakby jego obecność w ogóle go nie obchodziła.

Sasza odezwał się więc pierwszy. Stchórzył jednak i zapytał jedynie:

– Co ze Szczęściarzem?

– Szcza, żre i sra, czyli wszystko, co mu do szczęścia potrzebne.

Nawet na niego nie spojrział.

– Do szczęścia? – powtórzył Sasza, tracąc opanowanie. – A co tobie w takim razie jest do szczęścia potrzebne?

Zacisnął wargi i pięści. Czuł się, jakby stał przed szkolnym dyrektorem w jego gabinecie i czekał na wyrok. Wywalą go, czy nie? Santa Boy, wciąż pochylony nad gitarą, zaczął się śmiać. Rzadko zdarzało mu się śmiać na głos. Teraz nawet drgały mu ramiona, jakby właśnie usłyszał najlepszy dowcip w życiu.

– Dla mnie już raczej za późno. Ty masz jeszcze czas.

Wstał z gitarą w ręku i minął go bez nawet jednego spojrzenia. Zatrzymał się jednak w drzwiach, jak przed paroma minutami Sasza, gdy usłyszał pytanie:

– Wyjdiesz za mnie?

## Rozdział 7

To był najlepszy koncert w wykonaniu Saszy. Przez to, że był taki wściekły. I najgorszy koncert Santy Boy'a. Pomijając te, na których był po prostu zbyt nawalony, żeby grać w tempie i w miarę wyraźnie wybełkotać kolejne sylaby swoim zachrypniętym głosem. Nie grał źle, wszystko było jak trzeba, jak gdyby stał przed nim pulpit z nutami. Grał po prostu dobrze, bez żadnego zaangażowania, jak gdyby przed tłumem stała maszyna, a nie człowiek. Myślami był zupełnie gdzie indziej.

Sasza chciał go dorwać zaraz po koncercie, ale mu się to nie udało. Zatrzymało go paru fanów, a Santa zmył się ze sceny zaraz po ostatnim szarpnięciu struny. Gdy wreszcie dostał się za kulisy, lidera grupy już dawno nie było w klubie.

– Kurwa – syknął Sasza, wciągając w pośpiechu na swoje szczupłe ciało normalne ubranie. Prawie się przewrócił, gdy w pośpiechu naciągał dżinsy.

Telefon Santy Boy'a był oczywiście wyłączony. Nie miał pojęcia, gdzie mógł się udać. Ostatnim miejsce byłoby ich mieszkanie. Sasza zaś postanowił więc wybrać się właśnie tam, zabrać Szczęściarza, a potem iść się po prostu najebać. Nie potrafił sprecyzować, co właśnie czuje. Nie był zły, bardziej sfrustrowany i rozgoryczony, a przede wszystkim zmęczony. Miał ochotę wyrwać z ziemi parę miejskich koszy na śmieci, ale był na to zbyt grzecznym chłopcem. Santa Boy niekiedy tak go właśnie nazywał. „Greczny chłopiec”.

Wpuścili go do baru razem z psem. Szczęściarz dostał nawet miskę wody i jakieś resztki z kuchni. Sasza sączył smętnie whiskey, wsparty łokciem o bar i gapił się na grupę przyjaciół wyglądających na studentów, którzy grali w bilard. Potem zaczął padać deszcz, więc gapił się przez brudne okno na ten deszcz. Na kolejne krople rozbijające się o dachy samochodów. I to tyle. Wrócił do mieszkania mniej pijany niżby chciał i jeszcze bardziej rozgoryczony. Teraz nawet nie miał ochoty kopać w kosze na śmieci.

Stał przed zewnętrznymi drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową i poczuł się jak w „Matrixie” lub innej „Incepcji”. Scena, w której brał teraz udział, miała już kiedyś miejsce w dokładnie tym samym miejscu, tylko jego rola była inna. To on wtedy siedział, czy raczej półleżał w półprzytomny pod ścianą.

– Więc byłem aż tak żaloszny? – rzucił, patrząc na te nieruchome zwłoki.  
– Szczęściarz, bierz to truchło. Nie żałuj sobie.

Szczęściarz obwąchał mężczyznę, a potem przybliżył pysk do jego policzka i przeciągle go po nim polizał.

– Spierdalaj, kundlu.

– To było do mnie, czy do Szczęściarza? – spytał Sasza, sam tyrpiąc te zwłoki swoją ozutą w glana stopą.

– Obu.

Sasza wziął jeszcze kilka wdechów na uspokojenie i kucnął, aby chwycić Santę Boy'a za fraki i nim potrzepać. Gdyby nie te kilka oddechów, chyba trzasnęłyby tą głupią łepetyną o ścianę.

– Jeśli ćpałeś, to cię zabiję! – warknął mu w twarz. – Albo nie, to by było za mało. Wyślę cię na terapię do mojej matki. Będziesz siedział z innymi żalosznymi gównami takimi jak ty w kółeczku i będziesz słuchać ich wypocin przez cztery godziny dziennie i patrzył na moją matkę ubraną w pastelowy sweterek. Rozumiesz, kurwa?! A jeśli mnie zdradziłeś, to cię zajebię?! Przysięgam, że cię zajebię!

Santa Boy uśmiechnął się krzywo, co prawie umknęło Saszy przez zmierzwione włosy opadające na twarz muzyka.

– Nie zajebałbyś mnie, bo jesteś dobrym chłopcem. Tylko byś płakał gdzieś w kącie, żebym nie widział, a potem byś mi wybaczył. I tego bym nie mógłbym znieść, już wolę, żebyś mnie zabił... Więc tylko się najebałem, ale mniej niżbym chciał i zgubiłem klucze. Zostaw mnie tutaj. Po prostu nie chce mi się wstawać.

Sasza przez chwilę miał na to ochotę, ale zaraz przyszła mu do głowy myśl, że ktoś może tego idiotę okraść albo pobić. Albo przeziębienie sobie tą starą dupę przez to siedzenie na betonie. Próbował go podnieść, ale bez kooperacji Santy to przekraczało jego możliwości, a ten nie wyrażał takich chęci.

– Jak tobie się to wtedy udało? – jęknął Sasza.

Santa strzepnął jego dłoń i opadł z powrotem na beton.

– Nie ważyłeś wtedy nawet pół tego, co ja. Wziąłem cię na ręce. Niosłem cię po schodach jak jakąś pieprzoną księżniczkę albo pannę młodą. – Zaczął się śmiać. – Nigdy tego nie zapomnę.



– Serio? Ja tego w ogóle nie pamiętam – odparł Sasza, zszokowany taką nagłą wylewnością muzyka. Nie bywał taki nawet po alkoholu. – Pamiętam tylko, że masakrycznie się ciebie bałem, a potem bałem się, że ci się odwidzi i mnie wywalisz. Że to był taki twój kaprys.

– Wiem, wlepiłeś we mnie te wielkie, błagające ślepia, jak jakiś szczeniak, a ja cię wytresowałem jak Pawłow. – Wreszcie uniósł głowę i spojrzał na Saszę, a ten od razu zdał sobie sprawę, że jest znacznie mniej pijany, niż sądził. – Jak ty będziesz beze mnie żył?

Sasza poczuł się nagle nieswojo. Jego głos był taki poważny, jakby Santa naprawdę się nad tym zastanawiał. Jakby naprawdę za chwilę miał umrzeć.

– Co ci odwala ostatnio? – spytał, czując rosnąc w gardle gulę. – Myślałem, że ci się znudziłem albo coś, ale to nie o to chodzi, prawda? Zachowujesz się tak, bo chcesz, żebym to ja podjął decyzję. Żebym to ja rzucił ciebie. Tylko dlaczego? Tego nie mogę pojąć.

– Mam guza. Za dwa tygodnie mam termin operacji.

– I co jeszcze? Wodę w kolanie? – Zaśmiał się Sasza, chociaż czuł coś zupełnie innego. – Wymyśl coś lepszego. To brzmi, jak wycięte z jakiejś telenoweli dla pań domu.

– Guz nerki. Szcząłem krwią od paru tygodni, więc poszedłem w końcu do lekarza.

– I co? Będziesz umierał? – spytał, wciąż się śmiejąc, ale już tylko po to, aby przekonać samego siebie, że to musi być żart.

– Chyba nie, to łagodna zmiana.

Santa Boy wstał i otrzepał swoje ubranie.

– Ale zacząłem myśleć – rzucił, nie patrząc na Saszę. – Co będzie, kiedy już umrę? Teraz czy później? Myślałeś, co ty wtedy zrobisz? Już mam przed oczami, jak leżysz tu znowu, pod tą kamienicą i przypominasz zwłoki, czy bardziej kościotrupa. Tylko... czy tym razem znajdzie cię ktoś, kto cię podniesie?

Sasza pokręcił z niedowierzaniem głową i uśmiechnął się do siebie. Wcisnął dłonie do kieszeni džinsów i rzucił lekkim tonem, który zmusił zaskoczonego Santę Boy'a do obejrzenia się na niego:

– Jeśli się ze mną hajtniesz, to jak już się przekręcisz, to odziedziczę po tobie cały twój majątek, a wiem, że mimo iż żyjesz w tej ciasnej jaskini i jeździsz tym gratem, to masz przynajmniej parę milionów. Pojadę wtedy w jakieś egzotyczne miejsce, gdzie będą mi podawać kolorowe drinki z parasolkami. I tak będę chlał w luksusie przez całe dni, a wieczorami będę chodził po pustej plaży i ryczał, patrząc na zachód słońca. Tam spotkam jakiegoś lokalnego, egzotycznego chłopaka i przez kolejny tydzień wieczory będę już spędzać w swoim pokoju. A potem wrócę do domu i znajdę sobie nowe zajęcie. Jest wielu takich, którzy mówią mi, że gram lepiej i jestem bardziej kreatywny, niż ty próbujesz mi weprzeć...

Spojrzał w oczy Santy Boy'a i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– I wiesz, będę za tobą tęsknił do końca życia, ale jednak świat się na tobie nie kończy... Więc ty skończ już pieprzyć, bo to się robi męczące.

Wyminął muzyka i pierwszy wszedł do klatki, przepuszczając jeszcze krążącego wokół ich nóg Szczęściarza, który wyglądał na zaniepokojonego, chociaż nie miał pojęcia, co się dzieje. Sasza otworzył drzwi do mieszkania, zaraz za progiem zzuł buty, nie przejmując się ich równym ułożeniem i udał się do pokoju – tego, który teraz służył za składzik, a niegdyś należał do niego. Przez długi czas po tym pierwszym razie wracał tu spędzać noce, a Santa szedł do swojej sypialni. Teraz za to były tu tylko kartony i kurz, przez które zaczęło go kręcić w nosie. Kichnął, a w jego oczach zaś pojawiły się łzy. Wytarł je dłonią.

– A dopiero co mi zaimponowałeś... – rzucił Santa, który pojawił się właśnie w progu.

– To przez kurz – odparł Sasza, ale odwrócił wzrok.

– Jasne – podchwycił muzyk, wreszcie uśmiechając się w ten swój charakterystyczny sposób. Robił wtedy minę, jakby każdego miał za idiotę.

– I co ciekawego mi jeszcze wciśniesz?

Sasza poruszał przez chwilę bezgłośnie ustami, przez co przypominał rybę, do której zresztą Santa Boy czasami go przyrównywał przez wyłupiaste oczy, a potem wypalił:

– A co... jak masz uczulenie na narkozę? Albo przetną ci przypadkiem tętnicę? Albo coś...

Santa Boy zaczął się śmiać. Rozłożył ramiona, przywołując go do siebie. Sasza od razu się przy nim znalazł i przylgął do Santy, obejmując go ramionami i wciskając twarz w to miejsce, gdzie kończyła się szyja, a zaczynały barki. Dawno nie byli tak blisko siebie, nawet gdy uprawiali seks. Poczuł, jak spada z niego jakiś niewidzialny ciężar, a ciało się rozluźnia, gdy Santa jedną dłoń położył na jego głowie, dociskając ją do swojej klatki piersiowej, a drugą na plecy. Pachniał głównie skórą swojej kurtki, trochę alkoholem i trochę ciężkimi perfumami.

– Kurwa, obaj jesteśmy żałośni. – Zaśmiał się muzyk. – Ale chyba już tak musi zostać.

Chwycił go za irokeza i odsunął jego głowę od siebie, aby móc wycisnąć na jego ustach głęboki pocałunek. Saszy zawsze podobało się to, że musiał się bardzo nachylić, aby to zrobić. Był od niego większy, znacznie cięższy i niekiedy w tych jego ciemnych ślepiach pojawiała się ta mieszanka pożądania z potrzebą dominacji. To Sasza lubił i na to czekał. Zawsze podobali mu się tacy faceci, ale zawsze się cykał, był w końcu „dobrym chłopcem”. Dziewczyny były bezpieczniejsze, ale nigdy ich jakoś specjalnie nie szukał. Była, czy nie była, żadna różnica.

Santa włożył mu dłoń pod koszulkę, najpierw wyszukując ten charakterystyczny, lekko wypukły pieprzyk koło pępka, a potem wbijając mu palce pod żebra i aż go trochę podnosząc, jakby wbił mu hak. Sasza jęknął trochę z bólu, a trochę z ulgi, że Sancie wreszcie się chciało.

– To co chcesz? – spytał muzyk, ale nim chłopak zdążył cokolwiek odpowiedzieć, rzucił: – Z resztą, nieważne. I tak będziesz się cieszył, cokolwiek nie zrobię. Prawda?

Sasza nawet nie próbował zaprzeczać. Odchylił głowę do tyłu, czując nagle, jak ogarnia go zadowolenie. Uderzył się przy tym lekko o ścianę. Zamknął oczy, gdy Santa Boy dopadł do jego szyi z charakterystycznym uwypukleniem od powiększonej tarczycy. Czuł jego twarde zęby i szorstki język. Ślinę, która aż go parzyła. Dłoń muzyka wcisnęła się pod materiał jego bardzo ciasnych spodni, a jego środkowy palec w jego rowek między pośladkami. Jeden z tych palców, które szarpały dziś struny gitary. Sasza uśmiechnął się do siebie. Fajna była świadomość, że zaraz pieprzyć będzie go gwiazda Rocka.

– Co za pedalskie spodnie – rzucił Santa, niezadowolony, że miał tak ograniczone pole manewru.

– Jestem pedałem.

– I to cię obliguje do zakupu tego szajsu?

– Nie, po prostu lubię, jak szew wrzyna mi się w dupę – parsknął Sasza, sięgając jednak do błyskawicznego zamka.

– Zaraz będzie ci się wrzynało co innego.

– Mam nadzieję.

– I zaraz przestaniesz się śmiać, a zaczniesz skuczeć.

– Mam nadzieję.

Santa Boy przestał zdzierać z niego ubrania i odsunął się parę kroków. Sasza dokończył ściągać przez głowę podkoszulek i spojrzał nie niego zdezorientowany.

– Co jest? – rzucił.

Muzyk wyciągnął do niego rękę i chwycił łańcuszek, który chłopak miał zapięty na szyi. Zaczął powoli nawijać go na palec, aż pętla zrobiła się na tyle ciasna, że Sasza miał problem zaczerpnięciem tchu.

– Mam ochotę zrobić ci coś naprawdę paskudnego.

Puścił łańcuch, a Sasza wykorzystał ten moment, żeby wziąć haust powietrza. Zaraz jednak chwycił go ponownie i przyciągnął chłopaka do siebie.

– Tak, żebyś jutro się zastanawiał, czy naprawdę „miałeś na to nadzieję” – wychrypiał, uśmiechając się bezczelnie.

Zmusił go do wyjścia z pokoju. Teraz byli w salonie, a Sasza cofał się na oślep, kilka razy zahaczając łydką o nogę stolika albo kant fotela. Santa Boy zaś szedł za nim, irytująco wolno i zachowując dużą odległość między nimi.

– Chyba już ci to mówiłem, ale jesteś brzydki. Może nawet nie brzydki, a po prostu strasznie przeciętny, co jest nawet gorsze. O, nijaki, to jest dobre słowo. I wciąż trochę wkurza mnie to, że ja, Santa Boy, nie mam oporów, żeby paść przed tobą na kolana.

Santa Boy uwalił się na fotelu i oparł stopy, na których wciąż miał ciężkie, ubłocone buty, o stolik. Sasza zaś stał już przy przeciwnej ścianie pokoju, oparty o nią

plecami. Wciąż w tych pedalskich spodniach, które teraz nieprzyjemnie gniotły mu penisa.

– To klękaj – rzucił.

Zaczynał się irytować. Tym, że Santa postanowił nie tyle spowolnić tępo, co w ogóle wszystko wyciszyć. I tym, że kolejny raz usłyszał z jego ust, że jest brzydki. Tak, kurwa, jest brzydki i nic na to nie poradzi!

– Z nas dwóch, to nie ja dzisiaj będę tym, który dzisiaj padnie na kolana – rzucił pewnie Santa Boy.

– O nie! O kurwa, nie! Nie dzisiaj. Wstań z tego jebanego fotela, bo za chwilę zwariuję! – syknął Sasza i zaczął ściągać z siebie te idiotycznie ciasne spodnie. Nawet miał szwy odbite na skórze po bokach łydek i ud.

Santa Boy rzeczywiście wstał z fotela, a tylko po to, żeby podnieść dwa małe przedmioty, które wypadły Saszy z kieszeni. Chłopak kucnął, aby podnieść pierścionki, ale był wolniejszy. Santa przyglądał się dwóm, prostym, złotym obrączkom bez żadnych dodatkowych ozdób, czy grawerunków. Patrzył na nie dłuższą chwilę bez słowa, a Sasza w napięciu oczekiwał jakiegoś komentarza.

W końcu muzyk odłożył je na półkę, upewniając się przy tym, czy leżą w bezpiecznym miejscu.

– Teraz się nam nie przydadzą. Za wąskie, nawet żeby wcisnąć je na twojego kutasa.

Sasza ukrył twarz w dłoniach, dusząc śmiech.

– Ty naprawdę jesteś nienormalny – skomentował.

Santa Boy mruknął chyba na potwierdzenie słuszności postawionej przed momentem tezy i przykucnął przy siedzącym zupełnie nago na podłodze Saszy. Szarpnął go za irokeza, by ten na niego spojrział.

– Wróćmy do tematu – zasugerował. – Coś tam było o skuczeniu, prawda? To może zrobimy tak. Najpierw będziesz skuczał prosząco, a jeśli mnie przekonasz do podniesienia się z tego fotela, to wtedy ja sprawię, że będziesz nie skuczał, a wręcz wył.

Sasza sapnął sfrustrowany.

– Ale ja tylko chcę, żebyś włożył we mnie chuja – jęknął. – Tylko wreszcie tak od serca.

– Ale ja to doskonale wiem – odmruknął Santa, kończąc wyciągać sznurówkę ze swojego buta. – Dlatego właśnie tak nie będzie.

Chwycił penisa Saszy w wolną dłoń, przejechał wzdłuż niego palcami, by dotrzeć do jąder i zacząć je pieścić. Złapał też usta chłopaka w pocałunku, zaraz go pogłębiając. Saszę trochę to zdziwiło, ale zaraz dał się porwać. Oplótł jego szyję ramionami, ochoczo oddając pocałunek i splatając razem ich języki.

– Styknie – stwierdził Santa, nagle wszystko przerywając.

Za nim Sasza mógł zdążyć pojąć co się dzieje, u nasady jego penisa znalazła się pętla. Spodziewał się raczej, że sznurówka znajdzie zastosowanie w skrępowaniu jego rąk.

– I po to mi postawiłeś? – spytał sceptycznym tonem. – Mogę to po prostu rozwiązać.

– Nie możesz.

– Bo?

– Bo tak mówię – odparł bezczelnie Santa, robiąc przy tym drugą pętelkę, a tym samym tworząc węzeł.

– Boli – syknął Sasza, bo sznurówka była dość mocno zaciśnięta.

Santa wrócił na swoje wygodne siedzisko.

– No to zaczynaj – rzucił. – Jak ci za długo zajmie, to ci uschnie i będzie trzeba amputować, choć tobie i tak nie za bardzo jest do czegoś potrzebny.

Sasza zacisnął uda i wykręcił ciało jak wąż. Było mu niewygodnie. To było dziwne uczucie. Trochę, jakby chciało mu się bardzo sikać, ale nie mógł sobie ulżyć. Albo jakby właśnie włożył nie rękę, a kutasa do zamrażarki nastawionej na minus osiemdziesiąt stopni. Bardzo nieprzyjemne. Santa, chyba po to, aby torturę uczynić jeszcze gorszą, ściągnął górną część garderoby, a potem rozpiął spodnie, by wyciągnąć swojego penisa z bielizny. A potem nie robił już nic. Położył ręce na podłokietnikach i czekał.

– Zaczynaj – polecił.

Dłonią przejechał od swojej szyi z wyraźnym jabłkiem Adama, przez rowek pomiędzy zarysowanymi mięśniami brzucha, aż do swojego penisa, którego ominął, by skupić się na jądrach. Wypuścił głośno powietrze przez nos, trochę jak byk, i przymknął oczy. Sasza przyglądał mu się z podłogi jak zahipnotyzowany, zastanawiając się, co powinien zrobić. To był ten pokój i ta podłoga, na której Santa Boy wziął go po raz pierwszy. I co miał teraz zrobić, aby mężczyzna zechciał do niego podejść? Położyć się tutaj na plecach niczym pies w poddańczym gościu? Podpełznąć do niego na czworakach? Ten dystans, ledwie kilku kroków między nimi, wydawał mu się teraz jakimś ogromnym kanionem, z którego biło zimno. Chciał już znaleźć się pod mężczyzną.

I nagle to wszystko prysło. Santa Boy, który z perspektywy Saszy jeszcze przed chwilą wyglądał jak król siedzący na tronie, teraz przypominał błazna. Zsunął się z fotelu na kolana i zaczął się śmiać tak mocno, że aż nie mógł złapać tchu. Patrzył na Saszę błyszczącymi przez rozbawienie oczami sponad dłoni, którą zakrywał usta. Wszystko przez Szczęściarza, którego nigdzie nie zamknęli, a teraz postanowił wejść do salonu i podszedł do swojego właściciela, który klęczał nagi na podłodze z fiutem obwiązanym sznurówką.

Santa Boy po prostu zaczął się śmiać, a Sasza cały spurpurowiał, od twarzy, przez szyję, aż do klatki piersiowej. Zażenowany uciekł do sypialni i położył się na łóżku, kryjąc twarz w pościeli. Sam zaczął się śmiać. Usłyszał trzask zamykanych drzwi, a po chwili w pokoju pojawił się Santa Boy. Wsunął się na łóżko i przykrył szczupłe ciało chłopaka swoim. Wciąż jeszcze się śmiał. Miał bardzo niski i zachrypnięty głos, więc przypominało to trochę skrzeczenie kruka. To było dziwne doświadczenie, bo Santa Boy rzadko śmiał się z czystego rozbawienia, najczęściej kryła się w tym jakaś dodatkowa, gorzka nuta. Sarkazm, za którym krył prawdziwego siebie.

– No już – mruknął i pocałował Saszę w głowę.

– To idiotyczne.

– No – potwierdził. – Boże, jak ja cię strasznie kocham – westchnął tuż przy jego uchu.

Sasza poczuł coś chłodnego, wsuwającego się na jego palec. To była obrączka. Zaskoczony obrócił się pod męczyzną na bok, żeby zobaczyć, że ten ma już swoją na palcu. Uśmiechał się. Santa Boy się uśmiechał. Patrzył Saszy przez chwilę prosto w oczy, a potem skupił wzrok już na innym miejscu. Starczy mu tego romantycznego bełkotu do pierwszej rocznicy.

– Bo rzeczywiście ci uschnie.

Sięgnął do podbrzusza Saszy, by rozwiązać supełek. Masował powoli jego penisa i złożył pocałunek na jego szczupłym pośladku, a potem kolejne na plecach, zlizując słony posmak jego skóry. Sasza znów położył się na brzuchu i zanurzył dłoń we włosach, podświadomie masując głowę w tym samym rytmie, w jakim Santa Boy pieścił jego przyrodzenie. Zamknął oczy, już o niczym nie myśląc.

Uniósł się do podpartego klęku, gdy miał nastąpić ten moment. Sięgnął do swojego pośladka. Santa Boy docisnął jego plecy, zmuszając do większego wygięcia kręgosłupa. Czuł napięcie we wszystkich mięśniach i krople potu spadające mu z czoła na rzęsy. Sapnął, zanurzając palce wolnej dłoni w białej pościeli. Wbił w materiał paznokcie, gdy gorący, lepki od lubrykantu penis zaczął się w niego wsuwać. Czuł, jakby mijały kolejne godziny, wszystko zwolniło, a łóżko stało się niesamowicie miękkie, jakby w nim tonął. Czuł zapach Santy Boy'a w pościeli, jego szorstkość, gdy dłońmi ugniał jego plecy. Chłód i ostrość na jednym z jego placów, która rysowała mu skórę. Słyszał śmieszne, nieartykułowane dźwięki wydobywające się z jego własnego gardła, niskie, mrukliwe i miarowe posapywania Santy Boy'a, i skrzypienie sprężyn. Gdy te iskry, które wędrowały wzdłuż jego kręgosłupa niczym fale, za każdym razem dalej i dalej, wreszcie wybuchły pod jego powiekami, wydawało mu się, że minęło nieskończenie wiele czasu.

Później spali, tym razem zwrócenii do siebie twarzami. Rano Santa Boy przypomniał sobie o sznurówce leżącej pod łóżkiem. Później to on musiał wyjść ze szczęściarzem na spacer. Kupił sobie przy okazji gazetę. Na śniadanie zrobił im zapiekanki. Kawę zaparzył Sasza. Była kwaśna jak zwykle. Sasza nie umiał parzyć kawy i chyba już nigdy nie uda mu się tego nauczyć. Uznali, że najlepiej będzie polecieć do Las Vegas. Można tam było wziąć szybki ślub, przegrać kilka tysięcy w kasynie i wynająć na noc poślubną tematyczny pokój w hotelu.



*Marshall Biel żył jeszcze piętnaście lat, siedem miesięcy i szesnaście dni. Dostał jedenaście mandatów drogowych. Miał dwie rozprawy w sądzie. Złamał nogę i dwa żebra w wyniku stłuczki samochodowej. Zmarł po wylewie. Zgodnie z jego wolą jego ciało skremowano, a z prochów zrobiono płytę winylową. Na aukcji anonimowy nabywca kupił ją za sto cztery tysiące dolarów. Całość sumy została przekazana na rzecz organizacji charytatywnej wspierającej młodzież w walce z uzależnieniem od narkotyków.*

*Sasza Rockwell zmarł dwadzieścia jeden lat, miesiąc i dwadzieścia cztery dni później po czterech latach od wykrycia raka płuc. Założył studio muzyczne i zajął się promowaniem młodych zespołów. Nagrał dwie płyty solowe. Nigdy nie wyszedł ponownie za mąż, ani się nie ożenił. Został pochowany w rodzinnym grobie.*

**KONIEC**